

# Hanusia Wierzyńkówna



ANTONINA DOMAŃSKA

## *Hanusia Wierzyńkówna*

### I. W DOMU WIERZYŃKOWYM

— Hanuś! Gdzie ty znów latasz? Czerwonaś jak ćwik, tchu złapać nie możesz, co się to ma znaczyć?

— Stryj kanonik<sup>1</sup> do nas idą, matusiu — odrzekła dziesięcioletnia dziewczeczka.

— Który?

— Stryj Daniel.

— Gdzieżeś go uwidziała? Wždy nie ma nikogo.

— Zbiegłam ze schodów na sam dół za Mruczkiem, bo ino drzwi do komory uchyliliście, już się wymknęło kocisko.

— Juźci, taki on skory do myszy, jako ty do kądzieli. Ale powiadaj, jakożeś nadybała kanonika?

— Właśnie na dole, w sieni. Ino ja letka jak wiórek, tom duchem śmigąła na górę, a stryjek włoką się pomaluśku. Poczekacie jeszcze ze trzy pacierze, zanim do drzwi zapukają.

— Sprawiedliwie gadają stryj Mikołaj, że Daniel cienki w pasie jak kazalnica u Panny Maryi... hi! hi! hi! — zaśmiał się brat Hanusi.

— Stanko, Stanko... Jeszcze jedno takie słowo, a powiem dziadkowi. Znać, żeś dawno bicia nie brał.

— Nie żlijcie się na mnie, matusiu. Że stryj Daniel gruby jak beczka, a stryj Mikołaj omal się nie złomie, taki suchy, jak sama śmierć, to moja wina? A może i stryjowi Tomaszowi co zadałem, że już drugi tydzień stęka?

— Radzę ci po dobroci, usuń się z moich oczu, zanadto ci język lata! Spomnij ino, że ja mam przednie leki na takową chorobę... Zuchwalec jakiś!

Pani Janowa Wierzyńkowa ujawszy syna za kołnierz od kubraczka, wypchnęła z izby.

W tejże chwili drzwi od sieni rozwarły się szeroko, a w nich ukazał się mąż olbrzymiego wzrostu i potężnej tuszy, w sukni duchownej. Był to ksiądz Daniel Wierzynek, kanonik kapituły krakowskiej. Włosy jasne, siwiejące, przycięte ówczesnym zwyczajem trochę powyżej brwi, spadały po obu stronach twarzy czerstwej, o wyrazie rozumnym i dobrotliwym.

— Niech będzie pochwalony... Ufff! Jak do nieba do was się idzie, pani bratowo.

— Na wieki wieków. Niechże ksiądz-brat siadają i odpoczną. Hanuś — szepnęła matka dziewczynce do ucha — masz tu klucze, biegnij do ciotki Rafałki, niech wyda Ewie z piwnicy gąsiorek, ten, co już wie, a z komory kołacz korzenny z głogowym powidłem. A spraw się duchem. Ale, ale... Czekaj no, przynieś też ręcznik szeroki z sinym krajem, rozumiesz? I nóż, i talerzy cynowych maluśkich ze trzy, i kubków srebrnych parę, rozumiesz?

— Juźci.

— Z grodu idziecie, księżę kanoniku? — rzekła pani Janowa, zwracając się do gościa.

— A ino. U króla miłościwego byłem na radzie. Ojciec nie nadszedł jeszcze?

— Od rana go w domu nie ma.

— Nie dziwota, wszystko na jego głowie. Bóg daj, żeby tej ciężkiej pracy zdrowiem nie przypłacił. Takiego święta jeszcze Kraków nie obchodził i Polska nie widziała.

<sup>1</sup>Stryj kanonik do nas idą, matusiu — szczegóły, dotyczące się rodziny Wierzyńka, zaczerpnięte z dzieła St. Kutrzeby. [przypis autorski]

— Powiadajcież, zmiłujcie się, co i jak, bom strasznie wieści pragnąca, a od pana ojca niczego, jednego słówka się nie dopytać.

— Gadałby? Kiedy jeść ani spać nie ma kiedy. Powtarzam wam, bratowo, że mnie strach zbiera, czy w swoich późnych lecjach<sup>2</sup> przetrzyma zdrowo te trudy i krzątany. Ale król miłościwy nikomu nie ufa, ino Mikołajowi Wierzyrkowi<sup>3</sup>. Ciężka praca, ale i chluba niemała... Aa, tak... to lubię! Ewa niesie przysmaki, Hanka stół pięknie zaściela, gąsiorek zaczął pajęczyną osnutu... Przy miodzie będzie się nam gładko gawędziło.

— Ale i kołacza musicie pokosztować.

— A to z jakiej przyczyny?

— Bo go Anna piekła... Ach, nijak przywyknąć nie mogę, że ona już w klasztorze... Chciałam rzec — siostra Anna. Dziś rano przysłały zakonnice. Ma być przednie pieczywo, z najświetlejszej mąki, i smaki w nim zamorskie. Brat Laetus, augustianin, co ze swiłą przewielebnego nuncjusza do Krakowa przyjechał, przywiózł w podarku pannie ksieni pełną skrzynkę włoskich owoców, w miodzie wysmażonych, a drugą znów korzeni najwonnejszych, jakimi się ciasto zaprawia dla polepszenia smaku.

— Oho, kiedy tak, to mi dajcie tego specjału na jeden kęs.

— Ja sama ciekawa tych włoskich dziwów. Nie chciałam kołacza napocząć przez potrzeby, ale dla miłego brata a gościa najzaczniejszego co jest w domu najlepsze, to jeszcze za mało. Jakoż smakuje?

— Ano dobre... pewnikiem dobre... smakuje jak kadzidło z miodem i z masłem. Wolę zapić... Jakoś mię<sup>4</sup> mgli<sup>5</sup>. Aha, com chciał rzec, Tomasz, słyszę, jakoś słabuje?

— Rana w nodze znowu mu dolega.

— A to sparte lichol! Tyle lat...

— A bo mu też potrzebne było wojenne rzemiosło. Gdyby nie oblężenie Bełza<sup>6</sup> i nie te pogańskie Litwiny przeklęte, byłby chłop zdrów jak rydz do tej pory.

— Darujcie, bratowo, ale niebiałogłowska to rzecz w takich sprawach sądy wydawać. Żołnierzem był, ojczyźnie służył, jak umiał.

— A litewska strzała też mu usłużyła, jak umiała. Biedna Rafalka!

— Wždy już rok albo i więcej nie narzekał.

— Tydzień temu zachorzał. Medyk obiecuje rychłe polepszenie, ino nie chce nagle rany goić, bo kiedy się sama otwarła, to ma być bardzo zdrowo.

— Muszę potem zajrzeć do niego. No, a teraz, kiedym się rzetelnie pokrzepił, nastawcie uszy, bratowo.

— Ani okiem nie mrugnę, ino słucham.

— Wiadomo wam tedy, że z przyczyny szpetnego słowa, wyrzeczonego w nietrzeźwości wobec posłów, cesarz niemiecki, Karol<sup>7</sup>, obraził srodze króla węgierskiego, Ludwika<sup>8</sup>, który mu też niezabawem wypowiedział wojnę.

— Słyszałam ci ja o tym, ale nie pomnę, o co poszło.

— O co?... Ano, cesarz ubliżył najjaśniejszej królowej Elżbiecie<sup>9</sup>, matce węgierskiego króla a siostrze naszego miłościwego pana. Kazimierz<sup>10</sup> wprawdzie wojny nie lubi i nie szuka, ale w tym razie połączył się z siostrzanem i posiłki ruskie, litewskie i tatarskie sprowadzić przyobiegał. Pojechali też posłowie od Ludwika na Pomorze, do Bogusła-

<sup>2</sup>w swoich późnych lecjach — tu: w jego wieku. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Mikołaj Wierzynek młodszy (zm. 1368) — wpływowy krakowski mieszczanin i kupiec, słynny z powodu uczyty, wydanej we wrześniu 1364 r. dla króla Kazimierza III i jego gości. Syn Mikołaja Wierzyńka starszego, który przybył do Krakowa z Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>mię — dziś: mnie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>mglić — dziś: mdlić. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Bełz — miasto należące do Grodów Czerwieńskich, które w 1366 r. (w 3 lata po opisywanych wydarzeniach) przeszły spod panowania Wielkiego Księstwa Litewskiego pod władzę polską jako lenno. Bełz znajduje się ok. 60 km na pln. od Lwowa, obecnie na terytorium Ukrainy, przy samej granicy z Polską. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Karol IV Luksemburski (1316–1378) — król Czech i Święty Cesarz Rzymski. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Ludwik Węgierski (1326–1382) — król Węgier (w latach 1342–1382), król Polski w latach (1370–1382). [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Elżbieta Łokietkówna (1305–1380) — córka króla polskiego Władysława Łokietka, siostra Kazimierza Wielkiego, żona króla węgierskiego Karola Roberta, matka króla Węgier i Polski Ludwika Węgierskiego, później babka królowej Jadwigi. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Kazimierz III Wielki (1310–1370) — ostatni król Polski z dynastii Piastów. [przypis edytorski]

wa<sup>11</sup>, księcia słupskiego i szczecińskiego — temu łowy a wojna, to jedno<sup>12</sup>, wnet się też z pomocą gotował. Nie dość mu jeszcze było, to i pokrewniaka swego, Waldemara, króla duńskiego, do onych rycerskich tanów nakłonił. Książęta Rudolf rakuski i Meinhard bawarski sami zgłosili się z przymierzem. Stare przysłowie powia da: „Siła złego, dwóch na jednego” i możecie tedy wyrozumieć, bratowo, że gdy nie dwóch, ale sześciu na jednego idzie, to złe jest nie lada. Tak sobie pewnie rozważał cesarz Karol, gdy się do wojny sposobiał, a niebacznego słowa ciężko żałował. Na jego szczęście wczesna zima na kraje spadła i wszelakie nienawiści musiano do wiosny odłożyć.

— Pan Bóg miłosierny światem rządzi — westchnęła pani Janowa.

— Sprawiedliwe słowa. Jako więc jest naszym ojcem najlitościwszym, nie dopuścił krwi rozlew, lecz zesłał natchnienie wiernemu słudze i namiestnikowi swojemu, papieżowi Urbanowi Piątemu, by się w tę sprawę wmieszał, a zwaśnionych pojednał. Tedy wypisał Ojciec Święty listy mnogie: do króla Ludwika, do naszego pana, do Karola, do innych książąt, i wysłał z nimi piękne poselstwo, bo aż dwóch biskupów i kilku uczonych zakonników. Pisma Ojca Świętego sprawiły wiele, a nuncjusz i jego towarzysze domawiali do sumienia, jak mogli, dość że najskorszy do zgody cesarz Karol obiecał przyjąć warunki króla Ludwika i pierwszy podać rękę na pojednanie. Nasz król najmiłościwszy, który na cały świat z mądrości słynie, został wybrany na sędziego i rozjemcę wraz z Bolkiem świdnickim<sup>13</sup>. No... a co dalej się stało, to spodziewam się, że nie mówiąc już o was, pani bratowo, ale chyba Hanka wasza i Kostka wiedzą dokumentnie, prawda?

— Kostka nie, ale ja wiem! — zapiszczało coś z kącika.

— Cichaj! Nie wtrącaj się! — zgromiła Hanusię matka i rzekła zwracając się do kanonika: — Toć miasto całe w radości wielkiej żyje, że Elżusia pomorska<sup>14</sup>, Bogusławowa dziewczka<sup>15</sup> a naszego miłościwego pana wnuczka, onej pięknej zgody stanie się koroną, poślubiając cesarza Karola. Przypominam sobie — mówiła dalej pani Janowa — jak to przed ośmiu laty ojciec ją do Krakowa na wychowanie przywiózł, gdy go małżonka odumarała. Wiedział, że sierocie lepiej będzie u dziadka, więc mu też pod opiekę skarb swój oddał. Rosło to w naszych oczach jak na drożdżach, a nikomu, ba, nawet królowi miłościwemu nie powstało w głowie, że cesarzową niemiecką hoduje.

— A widzieliście ją kiedy z bliska?

— Jakże! Nie raz i nie dziesięć. Ilekroć mię dzieci uproszą i w święto na gród, na sumę idziemy, to zawždy się docisnę przeciwko stall królewskich, bo i do pana miłościwego serce biegnie, a oczy jakaś moc ciągnie i gości znamienitych łączno uwidzieć, no i Elżusia z mistrzynią w osobnej ławie tuż podle siedzą. Czasem znów przychodzą obie do Sukiennic i niemal do każdego kramu zaglądną, potrzebne i niepotrzebne skupują, po czym pacholek wlecze się za nimi nazad na gród z pełnym koszem sprawunków. Któż by nie znał Elżusi?

— Aleście tego nie widzieli, na co dziś moje oczy patrzyły! — zawołał kanonik ze śmiechem.

— Cóż to było? Powiadajcie!

— Ano, gdy się rada u króla skończyła, wyszliśmy wszyscy z komnaty na wał rozprostować kości i pojrzeć ku Wiśle, zali<sup>16</sup> od strony Przegorzał niebo jasne. Bo to już ani astrologa nie trza pytać: gdy w tamtym kącie błękitno, pogoda na parę dni pewna, a jeśli zasię buro tam i mętno, deszcz w ciągu doby jak zapisał. A dla gości na turnieje i inne weselne igraszki zdałaby się dobra pogoda. Patrzymy tedy, aż tu z sadu wybiega chmara dziewczek: Jagna z Żarnowca, Ewka Morsztynówna, Basia z Tarnowa, Marysia Kmicianka, Zochna z Potoka, Krystka z Kurozwęk, a kto by je tam wszystkie zliczył one panny dworskie! Było tego ze ćwierć kopy<sup>17</sup> albo i więcej. Gnają z piskiem i krzykiem jak spłoszone gęsi, a za nimi księżniczka Elżbieta z rozplecionymi kosami leci bez opamiętania i z takim

<sup>11</sup>Bogusław V Wielki (ok. 1318–1374) — książę Rugii, wasal króla Danii. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>temu łowy a wojna, to jedno — on traktuje (w domyśle: lubi) wojnę tak samo, jak polowanie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Bolko II Mały (ok. 1310–1368) — książę świdnicki. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Elżusia pomorska, właśc. Elżbieta pomorska (ok. 1346–1393) — córka księcia rugijskiego Bogusława V, wnuczka Kazimierza Wielkiego, później żona króla Czech i cesarza Karola IV Luksemburskiego. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>dziewka (tu daw.) — córka. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>ćwierć kopy — 15; kopa — 60. [przypis edytorski]

rozpędem, że się nie była w mocy powstrzymać i padła jak taran na Dymitra z Goraya. Ten zaś, iż ją dzieckiem na rękach nosił, więc śmiały do niej jak ojciec, obłąpił dziewczkę wół i rzecze:

— Nie puszcę ptaszka! Chyba za opłatą!

— A jaką?

— Czekaj, aż obmyślę.

— Co? Czekala będę? Ja? Ot, macie waszą opłatę!

— I jak się nie wstrząśnie w prawo, w lewo, tak mój Dymitr odleciał od niej na trzy kroki. Dobrze, że się lipy chycił, boby był runął jak długi. Znacie, bratowo, gorayskiego pana? Toć chłop setny, pólśiodmy<sup>18</sup> stopy<sup>19</sup> mierzy, a ta go strzepnęła niczym grudkę ziemi ze zapaski.

— Rety! Słyszałam, że mocna<sup>20</sup>, ale żeby aż tak...

— Albo to koniec? Widząc, co się dzieje, my wszyscy w śmiech, król miłościwy z nami i w te słowa do niej się odezwie: „Kiedyś taki wyrwidąb, rad cię będę pasował na rycerza. Ino nie przystoi rycerzowi w niewieścich szatach. Hej! — zaklaskał w dłonie i gdy pacholik ze sieni wyskoczył, powiada: — Przynieś no ten mały pancerz, co w mojej sypialni wisi na ścianie! — Chłopak pobiegł, a król dalej gada: — Nosił go mój siostrzan<sup>21</sup>, Ludwik, gdy miał lat szesnaście. Tuszę, że prawie będzie dla waszej miłości”. Podano pancerz, Elżbietka pojrzała, ujęła go oburącz od góry, ścisnęła wargi, zmrużyła oczy i... rozdarła na dwie połowy. Jak mi Bóg miły! Niczym płat pergaminu. Na dwie połowy! I żebyż się choć zatchnęła... Gdzie tam! Poczzerwieniła ino na gębusi i tyle, po czym pośliniła palce, podmuchała, widno ją musiała palić ona stal twarda, pochyliła się do nóg królowi, pocałowała go w kolano, zakręciła się na pięcie i pomknęła ze śmiechem ku niewieścim komnatom. Taka to jest Elżusia pomorska!

— O, Jezu!... Jakbym była na miejscu cesarza niemieckiego, to bym się złąkla takiej siłaczki.

— Dlaczego? Królewska wnuczka, panna cnotliwa, urodna jak jabłuszko, jeszcze i mocna... Bogu na klęczkach dziękować za tylorakie łaski! Ale, ale... Gdzie moja chrześnica? Dawnom dziecka nie widział.

Pani Janowa powstała z ławy i uchylając drzwi do sąsiedniej izby, zawołała:

— Kostka, Kostka! Pójdź do stryja!

I wbiegło do komnaty coś bardzo zabawnego: maleńkie, chudeńkie, o śniadej twarzy i czarnych oczkach, w niebieskim tułubku i takiejże zapasce, niemal do ziemi sięgającej, z białą jak śnieg głowiną.

— O, dla Boga! Dziecko, jak ty wyglądasz?! Gdzieżeś to ty była?

Kostka stanęła zmieszana na środku świetlicy i wpakowała dwa palce do buzi dla nabrania otuchy.

— No, gadaj! Oniemiało cię czy co? Gdzieś była?

— U ciotki Rafałki pierzem darła<sup>22</sup>.

— A to ci robotnica nie łąda! — roześmiał się kanonik. — Ile udarła, tyle na głowie przyniosła. Uciekaj, umykaj! Nie chcę cię, bobyś mnie jeszcze opierzyła. Jakżebym szedł przez miasto?

— Zabierz ją stąd, Hanuś. Umyj ją, uczesz, otrzep i dopiero niech wraca, jak będzie w porządku.

Dziewczynki wybiegły do alkierza, a równocześnie ukazał się we drzwiach wchodowych pan Mikołaj Wierzynek, stolnik sandomierski, konsul rady miasta Krakowa, wierny sługa i prawa ręka króla Kazimierza.

Kanonik powstał z ławy, a synowa pokłoniła się nisko i, jak to było podówczas w zwyczaju przy powitaniu młodszych ze starszymi, objęła teścia z lekka za kolana.

<sup>18</sup>pólśiodmy a. pólśiodma (daw.) — sześć i pół. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>stopa — daw. miara długości, niecałe 30 cm. Mężczyźni mierzący ponad 6 stóp, tj. więcej niż 180 cm, należeli dawniej do rzadkości. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>chłop setny, pólśiodmy stopy mierzy, a ta go strzepnęła niczym grudkę ziemi ze zapaski. (...) Słyszałam, że mocna, ale żeby aż tak... — Szajnocha w *Szkicach historycznych* wspomina o wielkiej sile Elżbiety pomorskiej. [przypis autorski]

<sup>21</sup>siostrzan (daw.) — siostrzeniec. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>pierzem darła — dziś: darłam pierze. Pierze wyskubane z gęsi należało rozdrobnić, zanim zrobiło się z niego poduszki i pierzyny. [przypis edytorski]

— Dziękować Bogu. Pan ojciec przyszli do domu nareszcie. Strasznie się tu frasujemy z kanonikiem, że się tyła trudzicie wedle tego zjazdu.

— To za ciężkie brzemię na wasze lata — dodał ksiądz Daniel.

Pan Mikołaj wyprostował się dziarsko — a wzrostem przewyższał syna — i zaśmiał się niskim, donośnym głosem.

— E, jakoś ta może nie wnet wyzionę ducha! A zamiast troskać się o mnie przez<sup>23</sup> potrzeby, dalibyście lepiej kubek miodu, co to ano we dwójkę sobie popijacie na frasunek.

I usiadł za stołem, dając znak ręką synowi. Taka bowiem w onych dawnych wiekach surowa karność panowała, że nawet niemłody człowiek stał pokornie przed ojcem, póki mu tenże usiąść nie pozwolił. Ksiądz Daniel, jako duchowna osoba, wielce był poważany przez całą rodzinę i stary Wierzynek nie wymagał od niego takiej czołobitności. On sam jednak spełniał z największą gorliwością czwarte przykazanie boskie, czcił i miłował rodziców, a po śmierci matki w dwójnasób okazywał przywiązanie sędziwemu ojcu.

Wychyliwszy duszkiem kubek miodu, pan stolnik nalał natychmiast drugi, a dzban do kanonika podsunął i rzekł:

— Sprawiedliwie mi się należy wypoczynek, boć, krotofile<sup>24</sup> na bok, siłam<sup>25</sup> się wczoraj i dziś natrudził. Zjechały ich królewskie moście, jakby na umówioną godzinę, przed południem. Stół naszego pana dostatni i wysmienity, o jadło więc nie było kłopotu. Ale gdyby nie to, żem już zawczasu przysposobił niejedno, byłby się stary Mikołaj setnie zbłaźnił. Od dwóch tygodni snuję się z robotnikami po gościnnych komnatach jak dusza w czyścicu, ale też śmieje tuszę<sup>26</sup>, że długo nie zapomną panięta przyjęcia u króla Kazimierza! Wydostało się z przechowania opony<sup>27</sup> i kobierce miłościwej pani węgierskiej, izba kapie złotogłowiem od stropu aż do ziemi. Najjaśniejszy król Ludwik i król Piotr cypryjski<sup>28</sup> w srebrnej lamie<sup>29</sup> jak we zwierciadle od stóp do głów przeglądać się mogą. Waldemar duński w całej swojej stolicy nie ma takich kobierców złotem przetykanych, jak te, którymi sypialnię mu przybrałem. A Bogusławowi sama księżniczka Elżbieta mieszkanie zdołała, z rąk mi co najpiękniejsze opony wydzierać, jeszcze to, a jeszcze tamto, a jeszcze owo „dla miłościwego rodzica”.

Jednocześnie prawie z Mikołajem wsunęła się do świetlicy cichutko jak myszka Hanusia i schowana w ciemnym kątku, z ciekawością słuchała opowiadania dziadka.

Wbiegła potem i Kostka, ulubiona chrześnica księdza Daniela. Stała przy stryju i główkę, już wyczesaną z pierza, oparła o jego kolana.

— A insze pany i senatory? A rycerstwo? A dworzanie? — pytał ksiądz Daniel.

— Dało się rady wszystkiemu, jak należy — odparł stary Wierzynek. — Pokojowi królewscy i książęcy mają przystojne rozmieszczenie w pobliżu swych panów, żeby usługa była pod ręką. Rycerstwo zaś stoi gospodą po domach w mieście, a do każdej gospody naznaczyłem komornika, co ma pilnie baczyć, by gościom dostarczono w bród wszystkiego, co potrzeba. A nim czegokolwiek zażądać zdołają, już to ma stać gotowe przed nimi.

Drzwi od sieni skrzypnęły.

— A czego tam? Co za sprawa, że mnie aż tu nachodzisz nie wołany? — chmurząc czoło, spytał Wierzynek kłaniającego się pokornie pacholka.

— Pan z Balic przysłał konnego.

— Że co?

— Że najjaśniejszy cesarz stanął wczoraj noclegiem w Olkusz, a jutro na podwieczerek będzie w Krakowie.

— Chybaj<sup>30</sup> w te pędy na gród, pokłoń się ode mnie panu krakowskiemu, a prosto do niego idź, rozumiesz?! I powiedz mu, niech zaraz króla miłościwego o tym zawiadomi!

— Słucham waszej wielmożności.

<sup>23</sup>przez (daw., gw.) — tu: bez. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>krotofila a. krotochwila (daw.) — żart, dowcip. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>siłam się natrudził (daw.) — bardzo się namęczyłem. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>tuszyć (daw.) — uważać, sądzić; spodziewać się, mieć nadzieję. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>opona (daw.) — zasłona, draperia. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Piotr I Cypryjski a. Pierre I de Lusignan (1328–1369) — król Cypru i tytułarny król Jerozolimy. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>lama — jedwabna tkanina przetykana złotą nicią. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>chybać (daw.) — biegać, pędzić. [przypis edytorski]

— Ot, i moje spoczynki — dodał stolnik, zwracając się do syna. — Teraz dopiero zacznie się prawdziwa robota.

— Zaniechajcie jej na dziś, panie ojczy — rzekł Daniel. — Wywczasujcie się, zażyjcie snu zdrowego, a jutro, skoro świt, snadniej wam pójdzie.

— Dobra rada godna posłuchu. Ale nie odchodź, zaraz podadzą wieczerzę.

— Nie mogę, trzeba mi z nowiną do nuncjusza. Ostańcie z Bogiem, panie ojczy.

— Idź z Bogiem. Dobranoc.

Kostka z Hanusią skoczyły podawać płaszcz stryjowi. We drzwiach od kuchni ukazała się Ewa z misą jakiejś wybornie pachnącej strawy. Za nią pani Janowa i ciotka Rafałka, druga synowa Wierzynka, niosły chleb, łyżki i noże, gdy wtem, jak kamień rzucony z procy, wpadł do izby dwudziestoletni chłopak w barwie dworzan królewskich. Nie mogąc słowa przemówić, oparł się o ścianę ciężko dysząc.

— Zbilut? Cóż to za obyczaje? Drogiś zabaczył<sup>31</sup>? Zda ci się chyba, żeś na miód zabiegł pod wiechę<sup>32</sup>!

— Darujcie, wasza wielmożność, przykazano mi... lecieć chyżej wiatru...

— Kto przykazał?

— Pan krakowski.

— Do mnie?

— Tak jest. Miłościwy król wzywa pana stolnika.

— Wie już o cesarzu?

— Właśnie przed chwilą posłaniec z Nawojowej...

— A do mnie z Balic. Biegaj do miłościwego pana, powiedz, że idę! Ewa, gdzie moja opończa?

— Hanuś... — szepnęła Kostka.

— No?

— Biedny nasz dziadek...

— Biedny? A czego?

— Bo matusia uwarzyli<sup>33</sup> boczek ze śliwkami.

## 2. POMYSŁ HANUSI

— Matusiu...

— No?

— Dobraście jak sam miód...

— Oho, cóż tam Pan Jezus dał nowego?

— Tak was miłuję, że strach!

— Znam cię, ziele próżniackie. Pewnikiem od kądzieli chcesz się wymigać, co?

— Matusiu... matusieńko jedyna, najmilsza... takie złote słoneczko świeci, ani jednej chmurki na niebie...

— Cóż mi prawisz, jakbym oczu nie miała?

— A na dziadkowej łące tyle stokroci, przyłaszczek, smółek, niezabudek, mlecza żółtego... a w dziadkowym sadzie jabłonie już kwitną...

— Skądże to wiesz?

— Stanko biegał wczoraj na Prądnik. Powiada, że ino się mieni łąka od kwiecia, a pachnie... Oj, matusiu, dajcie nam iść do sadu!

— Tyle dale<sup>34</sup>? Nie puszczę. Jeszcze cię krowy pobodą, psy pokąsają. Słyszane rzeczy! Czego ci się zachciewa!

— Gdzie zaś krowy, gdzie zaś psy, matusiu! Pójdzie Stanko, pójdzie Jasiak Zaklika, pójdzie Przemko z Chrobrza i Maciek ze Służewa...

— A Hanka Wierzynkówna sama jedna z chłopakami? A to mi się córusia udała!

— Ciotka Rafałka obiecali...

— Co takiego?

— Że jak wy zezwolicie, to pójdą z nami.

<sup>31</sup>*drogiś zabaczył* (daw.) — zapomniałeś drogi. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*pod wiechę* — do karczmy. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*matusia uwarzyli* — mama ugotowała (daw. forma grzecznościowa w 3 os. lm). [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*tyle dale* — tak daleko. [przypis edytorski]

— Skaranie boże z tą Rafalką! Że jej Pan Jezus własnych dziątek odmówił, to już cudzym schlebiam, do wszelakich zbytków zgodna. Wiadomo, na pochyłe drzewo kozy skaczą.

— Matusieńko... pobieźmy duchem... ani się opatrzyście, już my tu.

Pani Janowa robiła srogą minę, ale i jej serce miało twardość raczej wosku niż kamienia, gdy które z dzieci przychodziło do niej z prośbą.

— Ano, niechże już wasza prawda będzie. Idźcie z Panem Jezusem. A wracać mi na obiad... pamiętaj!

— Jużci, nie chybimy, matusiu.

— Aha. A z Kostką co? Toćże to robaczek maluśki. Nie zalezie...

— A we wielkanocne święta nie była z nami na Rękawce? Wždy Krzemionki też dobry kawał za miastem.

— Ba! Rafalka ją niosła, Magda ją niosła.

— No, widzicie, matusiu, ciotka i dziś Kostkę poniosą. A Magda pójdzie ze śniadaniem, to jakby się ciotka zanadto zmęczyli...

Hanusia wybiegła pędem, by się przypadkiem co nowego matce nie przypomniało i nie stanęło na przeszkodzie zamierzonej wycieczce. Wskoczyła do piekarni po siostrzyczkę, przywdziała jej cieplejsze ubranie, bo choć to maj był, zawsze od Tatrów<sup>35</sup> śnieżne podmuchy przelatywały. Migiem zarzuciła i na siebie kabacik sukienny, lekką chuścicę na głowę i wskoczyła do mieszkania stryjostwa Tomaszów zawiadomić ciotkę o zezwoleniu matki. Ciotka zaś, przewidując tę dobrą nowinę, już była także zebrana. Stanko z towarzyszami czekali na Rynku, przed bramą domu, wyruszono tedy gwarnie i wesoło ku Floriańskiej Bramie, za miasto.

Najstarszy z wyrostków, czternastoletni Przemko z Chrobrza, oddał się na usługi ciotki Rafalki, która wiodła małą Kostunię za rączkę. Szedł obok niej i zabawiał rozmową. Reszta dzieci biegła gromadką na przdzie, a z tyłu za wszystkimi postępowała dziewczyna służebna z kobiałką i grubą chustą wełnianą na rękę.

Ledwie przeminęli kościół Panny Marii, spostrzegli na prawo od Sukiennic zbiegowisko, a choć im pilno było do dziadkowego sadu, zaciekawieni podstąpili bliżej.

— A co wy tam, ludzie, robicie? — spytał Stanko, uchylając uprzejmie kołpaczka.

Jeden z tłumu, mężczyzna w długim szarym żupanie, zapewne rzemieślnik lub kupiec, spojrzął z uśmiechem na chłopca i rzekł:

— A toć wnuk pana Wierzyńkowy i pyta, co my tu robimy. Nie wiesz to, co twój dziad, pan stolnik sandomierski, z rozkazu miłościwego króla zarządził?

— Nie wiem. A co takiego?

— To się przypatrz! Na czterech rogach Rynku postawiono kadzie z winem i skrzynie z owsem<sup>36</sup> dla wygody przyjezdnych gości i ku pożywieniu ich koni. Wprawdzie po gospodach czuwają komornicy, by jadło i picie było na zawołanie, ale na wszelki wypadek, gdyby komu zabrakło, może iść na Rynek i czerpać do woli. A gdy się i skrzynie wypróżnią, służba królewska na nowo je napełnia. Patrz, synku, co tu ludzi z dzbankami ciśnie się po ono wino... niczym w Kanie Galilejskiej! Cha! cha! cha!

— I to tak cały dzień będzie? — spytał Jasiek Zaklika.

— Cały dzień? A gdzie cię to chowano, mój żaczku, i w jakiej szkole gościnności uczono? Cały dzień. A to by mi się podobało! Pokąd weselne gody się nie odprawią, a rycerstwo i inne pany nie odjadą, ma się łać wino jako ta rzeka. Niech lud pije za zdrowie i pomyślność najjaśniejszych i miłościwych gości!

Chłopcy przypatrywali się chwilę zgietliwemu czerpaniu wina z kadzi, ale Hanusia nawoływała do pośpiechu, więc poszli.

— Coś wam powiem — rzekła dziewczynka z miną tajemniczą, oglądając się, czy ciotka tuż za nimi nie idzie. — Ino cicho, sza, bo by się gotowe nie udać.

— Albo my to dziewczki, żebyśmy dużo gadali? — burknął rówieśnik Hanki, dziesięcioletni Maciek ze Służewa.

— Widzicie go! Ledwie to chodzi, dwie piędzi<sup>37</sup> mierzy, a dziewczkom przygania.

<sup>35</sup>Tatrów — dziś popr. forma: Tatr. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Na czterech rogach Rynku postawiono kadzie z winem i skrzynie z owsem dla wygody przyjezdnych gości i ku pożywieniu ich koni — wg Długosza. [przypis autorski]

<sup>37</sup>piędź — daw. miara długości, ok. 20 cm. [przypis edytorski]



— A tyś rosła jak dąb! W dziadkowej ciźmie<sup>38</sup> z wygodą się prześpisz, jeszcze i Kostka przy tobie!

— Truteń jeden. Stanko! Nie daj siostry krzywdzić! No, ruszże się!

— Cichajcie! Niech ino ciotka usłyszy, że się swarzycie, zaraz do domu nawróci, co-  
byście tam bajkowali po próżnicy!

— Jam nie zaczynała — rzekła Hanusia.

— A mnie się ino tak wyrwało — zapewniał Maciek.

— No, to niechże będzie święta zgoda! A ty, Hanka, gadaj, coś miała gadać — za-  
kończył spór Jasek Zaklika.

— Ano, tedy chciałam rzec, żebyśmy na łące i w sadzie narwali kwiatów, ile tylko  
unieść zdołamy. Ale to musi być strasznie dużo! A skoro przyjdziemy do dom... — Tu  
się zacięła, jakby się nad czymś namyślając.

— No, a jak wrócimy do domu, to co?

— To złożymy kwiatki w chłodzie... skropimy wodą... i... będziemy czekać.

— Cóż ci dolega, co ano stękasz jak stara Wojnarka pod dominikanami?

— Okrutnie się boję, czy się uda.

— Gadajże raz!

— Uważajcież. Dziaduś powiadali wczoraj stryjowi, że wszystkie króle i książęta, co  
tu na wesele pojeżdżały, oczekują wieści, zali się najjaśniejszy cesarz niemiecki nie zbliża.  
A gdy on z ostatniego popasu wyruszy, o czym rozstawieni konni doniosą, wtedy zbiorą  
się wszyscy razem i pospieszą jemu naprzeciw. Księżniczka Elżbieta zaś, że to nie przystoi  
narzeczonej nadskakiwać nad miarę swemu przyszłemu małżonkowi — tak dziaduś gadali,  
ale sobie rozważam, że ja, gdybym szła za króla, to bym srodze wyskakiwała...

— Co tam o ciebie! Powiadaj dalej — przerwał jej niecierpliwie Stanko.

— Więc jako narzeczona i jako panna z wielkiego rodu, nie może zbyt swobodnie swą  
radość okazać, a jednak należy jej się także cesarza powitać. Więc...

— Więc jak? Znowu stękasz?

— Czekaj, ino sobie spomnę. Aha. Więc ona, rodzic jej, książę Bogusław, i wszystkie  
panny dworskie z mistrzynią wyjdą ino za rogatki i tam cesarza powitają. A potem wszyscy  
społem powrócą na gród.

— Ojoj!... Cobyśmy choć na czas z Prądnika wrócili! — krzyknął Maciek w wielkiej  
trwodze.

— Czekajże, jeszcze nie dokończyła! Wrócimy na czas, bo na podwieczerek dopiero  
spodziewają się najjaśniejszego cesarza. My tedy zjadamy spokojnie obiad, matusi niczym  
na złość nie uczynimy, cichutko jak trusie idziemy „na niby” do ciotki Rafalki, jak to co  
dnia robimy.

— Wždy nie na niby u niej siedzimy do wieczora, ino naprawdę.

— Jak będziesz przerywał i przerywał, to się niczego nie dowiesz.

— Jużem zamknął gębę na kłódkę.

— Więc matusia idą spocząć do alkierza, my do ciotki, na niby to, a naprawdę na  
górkę, pod dach. Tam przez dymniki cały Rynek i całą ulicę przejrzyć aż po Floriańską  
Bramę.

— Ach, prawda! Ze strychu cudnie...

— Eeee?... A kto wymyślił? Tam ano stoimy i czekamy. Matusia, choć spostrzegą,  
że nas nie ma, pomyślą, żeśmy przed dom wybiegli, i łajanie dla mnie, a bicie dla ciebie  
na potem odłożą. Aż tu nadchodzi dwór, wszystkie panny, rycerze, całe dziwowisko. My  
się przypatrujemy, a gdy Elżbieta ze swymi dziewczkami Mariacką farę przeminie i ku nam  
się skieruje, my w tejże chwili z okna buch, buch, buch kwietne wiązki jej pod nogi. Tak  
powitają kochaną księżniczkę Wierzyńkowe wnuki!

— Oj, Hanuś, Hanuś... Toś ty całe dorzeczną dziewczką, a ja cię zawždy miał za głupią.

— To sobie wzajem darujemy, bo i ja nie dałabym pół denara za twój rozum, choć  
do szkoły chodzisz, a ja niczego nie uczona. Pomnijcież na moje słowa. Jak już będziemy  
w sadzie, to ino Przemkowi szepnijcie, co i jak, a strzeżcie się Kostki, żeby nie posłyszała,  
bo ta niczego nie utai. Co wie, to wyśpiewa i zepsuje nam całą zabawę.

<sup>38</sup>ciźma (daw.) — but, pantofel. [przypis edytorski]

Tak sobie gwarząc, dowodząc, a ciotkę Rafałkę co chwila za jej dobroć po rękach całując zaszli w godzinę na Prądnik, gdzie stary Wierzynek miał rozległe pola i ogrody<sup>39</sup>. Ciotka usiadła pod jabłonią, choć niewiele jeszcze młode listeczki cienia dawały, i zaczęła rozkładać na trawie śniadanie przyniesione przez Magdę w kobiałce. Snadź wielkie miała zaufanie do zdrowego apetytu swoich siostrzeńców i ich gości, bo wydobywała, a wydobywała bez końca. Najpierw kilka potężnych kromek chleba z masłem, poskładanych ku sobie i owiniętych czystą białą szmatką; potem ogromny twaróg świeżutki, prosto z worka; orzechów parę garści; śliwek i gruszek suszonych. Wszystko podzieliła sprawiedliwie, a o sobie nie zapominając, bo po milowej przechadzce porządnie też była głodna. Dzieci pokładły się na trawie i zjadały smacznie, ciągle coś z sobą poszeptując. Magda zaś umknęła ze swoim śniadaniem w głąb sadu szukać ojca, który służył u Wierzyneków za pasiecznika. Potem chłopcy z Hanką wybiegli za płot, na łąkę, a ciotka rozeszła na ziemi grubą płachtę, położyły się na niej obie z Kostką i ani pacierz nie minął, spały jak kamień.

Tamci zaś, posłuszni Hanusi, rwali kwiatki, jakie im tylko pod ręce podpadły, byle dużo, byle dużo, byle jak najwięcej! A że to chłopaki, czy dziś, czy pięćset lat temu zawsze podobne miewają zwyczaje i podobnie się bawią, więc u każdego w kieszeni znalazł się to sznurek cienki, to postronek, to lyczko. Powiązano tymczasem kwiaty w cztery duże snopy — w domu dopiero miała je Hanka przebrać i na drobne wiązeczki podzielić — i każdy z chłopców zabrał jeden na ramię. Hankę, jako doradczynię i kierowniczkę, uwolniono jednogłośnie od noszenia ciężarów.

— A teraz wio, koniki, do domu! Słoneczko się podnosi, trzeba nam na południe do Krakowa! — zakomenderowała Hanka.

— Rad bym wiedzieć, gdzie ty te gaje przechowasz do wieczora? — spytał Jasiek.

— Wrażę<sup>40</sup> do kadzi z deszczówką. Matusia nie spostrzegą, bo to w samym kącie podwórca a kwiateczki woda odświeży i cale ożywi. Po obiedzie wyniesiemy się z naszym kramem na strych. Nici do wiązania odwinęłam ciotce z wrzeczona cały kłębek. Porobi się małutkie wiązusie, aby dużo, no, i dalej będzie, jak Bóg da. Byle nas matusia przed czasem nie wyłowili.

Zbudzono ciotkę i Kostunię i powrót do Krakowa odbył się szczęśliwie. Jeszcze strażnik z Mariackiej wieży na południe nie trąbił, gdy stanęli przed domem. Jasiek, Przemko i Maciek pożegnali młodych Wierzyneków znaczącym chrząknięciem i pośpieszyli na obiad do swoich rodziców. Kwiaty dostały się niepostrzeżone do kadzi z deszczówką, po czym dzieci poszły pokłonić się stryjowi Tomaszowi i przeprosić go, bo się trochę krzywił, że cały ranek żony w domu nie było.

— Widzicie, włóczykije — zawołała Ewa, przysposobiając do obiadu w izbie stołowej — łązicie na jakieś Prądniki, Bóg raczy wiedzieć, gdzie, a tu księżniczka z dworem nie ma ćwierć godziny, jak przejeżdżała!

— A król miłościwy i tamte książęta? — spytał Stanko.

— O, tamci to zaraz po prymarii wyruszyli na balicki gościniec.

— Ha! Szkoda! Ano wracać chyba muszą do Krakowa, co?

— Juźci, gdzieżby się podzieli? Wždy wszystko nazad na gród będzie jechało, ale wam nic po tym, bo was pani matka nie puszcza. Stanko to tam jeszcze, jak Stanko... Utrzymasz to piskorza w garści? Ale co Hanusię, to powiadali, że do alkierza zamkną, coby jej konie nie stratowały albo i ludzie w tłoku nie udusili.

Hanusi serduszko zadrżało na myśl o ciężkiej żelaznej zasuwie alkierza, ale liczyła na boską opatrność i popołudniowy sen matusi.

### 3. CO DZIECI WIDZIAŁY Z DACHU

Maciek, wetknij zatyczkę za skobel, coby znać nie było, że drzwi otwarte. A jeśli wam życie mile, sprawujcie się nikiej myszy cichutko, żeby matusia nie dosłyszeli, że się co ruchu na górze.

<sup>39</sup>na Prądnik, gdzie stary Wierzynek miał rozległe pola i ogrody — wg Kutrzeby, Szajnochy. [przypis autorski]

<sup>40</sup>wrażić — wsadzić, wepchnąć. [przypis edytorski]

— Ee... matusia śpią sobie jako zwyczaj — uspokajał Stanko obawę siostry — a gdy przyjdzie pora na wjazd królewski, to będą oknem wyglądać z ciotkami i kumoszками, co się ich do naszych okien ze czterdzieści wzmówiło.

— Aż na rodzone dzieci miejsca zbrakło — z goryczą dodała Hanusia.

— Gdzieżes wraziła ten kawał placka, co ci dali dla ciotki Rafałki?

— Hi! hi! hi! Hanka mu zacny pogrzeb sprawiła! Jeszcze się oblizuje!

— Maciek, Maciek, to już dziś drugi raz mnie zaczepiasz! Poczekaj, niech ino z królami skończę, to cię stłukę na kwaśne jabłko! Popamiętasz moją rękę, niecnoto jeden! Że sam chytry i łakotliwy jako nasz Mruczek, to na drugich będziesz wygadywał! Pojrzyj do kąta na prawo! Leży tam kądziel, hę? A wedle kądzieli jest tam miseczka z plackiem, hę? Teraz będziesz wiedział, co ci się należy ode mnie, i chyba mi nie jest Hanka<sup>41</sup>, jeżeli ci skóry nie wygarbuję, zobaczysz!

— Rety! Co się ona taka robi zuchwała? — spytał ze śmiechem Przemko.

— Ano, słyszała wczoraj o księżniczce Elźbiecie, że jest mocna za czterech, to chce swojej siły na Maćku wypróbować.

— Gadu, gadu, słońce się za ratusz schyla, a kwiaty nie powiązane. Ej, Hanka, przez wasze jankory zapóźnimy się.

— No, dalej, raz, dwa! Jasiek, bierz z kupki kwiatuszki, podawaj mi po kilka, ja będę wiązała, a ty, Przemko, ucinaj równiutko każdą wiązeczkę, co by ładnie wyglądała. Masz nóż?

— Nie miałbym?

— A ja co mam robić? — spytał Stanko.

— Pilnuj Maćka, co by kołacza nie zjadł.

— Hanuś, powiedzcie ci coś?

— Nie potrzebuję od ciebie nic.

— Inom cię chciał spytać, czy masz drugie imię na chrzcie świętym.

— Cóż za świeże krotofile? Hanka mi jest i dość.

— Hanka? A jam rozumiał, że ci na drugie Mścislawa i dlatego takaś zawzięta, że mnie chcesz zabić za byle co.

— Odczep się ode mnie!

— Patrzcie no! — krzyknął Zaklika z radością. — Od Brackiej ulicy idzie na przełaj Kuba z Radzimina. Mignę na niego, niech się tu do nas wkradnie, dobrze?

— Co się masz nawet pytać! Wołaj go, wołaj. On starszy od nas, bywa z ojcem po grodach rycerskich, więcej ludzi w tygodniu widuje niż my w roku, może i onych gości królewskich gdzie napotykał, to nam każdego pokaże, i gdybyśmy czego nie zauważyli, to nam wytłumaczy.

— Pójdę, drzwi cichutko odewrę, bo już wszedł do bramy.

— Witajże, Kuba miły! Właśnie nam ciebie do kompanii brakowało!

— A co wy tu robicie?

— Zaraz się dowiesz, ino wpierw gadaj, czy cię kto z domowych nie spotkał w sieni albo na schodach?

— Nie, nikomu nie widział, ino wasz stary parobek stał w bramie, ale ani się za mną nie obejrzał.

Chłopcy opowiedzieli Kubie o swoich zamiarach i zaprosili do przycinania wiązanek, których Hanusia przyrządziła już prawie kopę, a kwiatów jeszcze ani połowy nie spotrzebowała<sup>42</sup>. Odrącony od jej łask Maciek ze Służewa obrał sobie najlepszą część, bo wydrapał się do okienka strychowego tuż przy murze działowym, usiadł na krokwi i patrzył na dół, w Rynek i ku ulicy Floriańskiej.

— Zmiłujcie się, ludzie, co za mrowisko! A to dopiero! Głowa przy głowie... Choćbyś czapkę rzucił, nie doleci do ziemi. Stanko! Przemko! Wyjrzyjcie ino!

— Aha... Rety! Tyle narodu! O, Panie Jezusie! Tyleś to stworzył?

— Patrzajcie, jak się tłoczą! Jak się popychają! A wygraża jedno drugiemu... a szturchają się... jeszcze nic do widzenia nie ma, a oni się już zabijają. A co potem będzie?

<sup>41</sup>mi nie jest Hanka (daw.) — nie nazywam się Hanka. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>spotrzebować (daw.) — zużyć. [przypis edytorski]

— Nie widzisz to halabardników, jak porządek czynią? O, jaka szeroka droga zostawiona środkiem na przejazd!

— Pacholcy miejscy trzymają się za ręce i sznurem, żeby naród nie zastępował drogi.

— A ta gruba niewiasta pod łokieć mu się wpycha, chce w pierwszy rząd.

— Oho, zwałił ją po karku... To ci wrzeszczy dopiero!

— Cały dach u świętego Wojciecha dzieci jak wróble obsiadły!

— A na Sukiennicach widzisz, jak się roi?

— A na dachach!

— A w dymnikach!

— No, jakże? Wždy i nas tu kilkoro na strychu. Widno inni ten sam rozum mieli.

— Chodźcie do roboty, chodźcie, próżniaki! Nie widzicie, że słońce już ino przez Szewską Furtkę do miasta zagłada? Spieszmy się!

Chwilę pracowali gorączkowo, nawet się do siebie nie odzywając.

Wtem, jakby na rozkaz jakiejś mocy niewidzialnej, ozwały się dzwony wszystkich kościołów krakowskich. Poważnym basem huczało z wieży Panny Marii; trzy dzwony zamkowe trojakiemi zawodziły głosami; sygnaturka św. Wojciecha szczebiotała prędko i dobitnie niby gadatliwa niewiasta; św. Idzi wtórował jej dyszkancikiem, a okazały Iwo u dominikanów karciał te figle surowym buuum, buuum, buuum... U św. Floriana, u św. Krzyża, u franciszkanów, u św. Magdaleny, u św. Andrzeja, na Skalce, u augustianek i u Bożego Ciała. Ze wszech stron płynęły donośne dźwięki jak na rezurekcję.

— Rety, jadą! — wrzasnął nagle Maciek, zeskoczył z belki i zapominając o nieprzyjaźni i przyobiecanej zemście, rzucił się Hance na szyję. — Hanuś, pójdź! Z mojego okienka wszystko najlepiej uwidzisz! Pójdź, będziemy razem wyglądali!

Dziewczyna w szlachetnym zapale puściła też wrogie zamysły w niepamięć. Wszyscy chłopcy usadowili się w największym dymniku i wychyleni do połowy ciała ponad dachem, wypatrywali oczy w kierunku Floriańskiej Bramy. Rzeczywiście, środkiem ulicy, między dwiema wstęgami tłumnie zbitego ludu, poruszały się powoli jakieś zastępy i posuwały się ku miastu.

— Oho, pierwsi już wchodzą w Rynek! — zawołał Stanko. — To ceklerze! A jakżeby się przez<sup>43</sup> miejskiej straży obeszło! Gdzie ich nie posiać, tam wyrosną.

— Ot, nie plótlbyś byle czego! Wždy przy każdym wielkim święcie, czy na odpusćcie, czy na innym jakim obrzędzie, musi być straż miejska dla porządku. To już tak nakazane.

— A tuż za nimi piszczkowie i skrzypiciele<sup>44</sup>... Wygrywają pięknie, nie można powiedzieć, a że w uszach dudni. Grajcie, grajcie, niech się najjaśniejszy cesarz nasłucha.

— Ee, gdzie on tam jeszcze! Nawet go okiem nie dojrzy. Ani wie o jakiej muzyce.

— Ooo... patrzcie, dzieci, teraz idą cechy z chorągwiami! Widzisz, jak onemu wiaterek ślicznie sztandar rozwija, temu z prawego brzegu?

— A co na sztandarze?

— Święci Kryspin i Kryspinian, patronowie szewców.

— Skądże wiesz?

— Nie widzisz to, jak siedzą na niskich zydelkach i sandały szyją, a złote kółka mają nad głowami, to znaczy, że są święci. A że takie mieli imiona, to mi babka kiedyś opowiadała. A na tej znów chorągwi święta Cecylia, patronka muzykusów. A tego z nożycami i kłębkami w rękę widzisz? Pięknie wymalowany. Zda się, że lada chwila z płótna na ziemię zejdzie. To święty Homobon, patron krawców.

— A ciż dwaj z mieczami, tak paradnie wystrojeni? — zapytał Maciek.

— Gdzie, gdzie?! — zawołał Jasiek. — Nie widzę. Aha! Miecze umajone i czerwonymi taśmami owinięte?

— Juźci. To rzeźnicy. A na tym białym sztandarze Najświętsza Panienska, patronka kupców.

— Cieśle idą! Świętego Józefa na chorągwi mają!

— Stanko, Stanko! Widzisz twego dziadusia, jak poważnie kroczy? Co za opończa kunami bramowana<sup>45</sup>!

<sup>43</sup>przez (daw., gw.) — tu: bez. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>piszczkowie i skrzypiciele — fletniści i skrzypkowie. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>opończa kunami bramowana — płaszcz obszyty po brzegach futerkiem z kuny. [przypis edytorski]

— Że też ty wszystko najpierwszy zobaczysz! Pokaż mi, gdzie dziadek?

— Nie rozumiesz? Wszak to cała rada miasta Krakowa! Ten jasnowłosy pan w wiśniowym żupanie, to konsul miejski, Jan Denga. Ten niski, w ciemnozielonej opończy lisami podbitej, to Jacek Morsztyn. Zaraz podله niego ten gruby, szpakowaty, co się tak chybotcze z boku na bok, a ręce za się założył, to najstarszy konsul, Doman, wielce uczony medyk a przyjaciel mego rodzica. Ten po jego lewicy, to Jakub Frant. Za nimi ci dwaj ciemno odziani, to bracia Cymermanowie, mają łańkę<sup>46</sup> ze złotymi i srebrnymi strojami białogłowskimi, a co drogich kamieni!... Nieco z tyłu, ten mały, czarny, ze złotym łańcuchem na szyi, to sam burmistrz. A podله niego...

— Widzę, już widzę! Nasz dziaduś! Boga mi! Niejeden król pozazdrościć może urody i pańskiej postawy naszemu dziadkowi.

— A to znowu co za jedni? Czarno ubrani jak duchowne osoby. Jacyś chyba kanonicy.

— To są profesorowie z nowej szkoły na Bawole, wiesz?

— Co ją niedawno miłościwy król ufundował? Słyszałem. A czego oni uczą?

— Prawa rzymskiego, niemieckiego i tych praw pisanych, które nasz pan, pełen mądrości, we Wiślicy przed piętnastu laty nadał. Już teraz nie będziemy w Bolonii nauki szukali, mamy swoją szkołę. Teraz do Polski z inszych krajów zjeżdżać się zaczną naszych profesorów słuchać. Ten wysoki w aksamitnym birecie, ze złotym krzyżem na piersiach, to rektor.

— Oho, znowu muzyka! Sami lutniści. No, ci to naprawdę pięknie przygrywają. Warto posłuchać.

— A teraz patrzajcie, jacyś rycerze we zbrojach. Konie pod jedną miarę, kapy na nich trójbarwne, czarne, żółte i czerwone. Cóż to za jedni?

— Chyba straż przyboczna najjaśniejszego cesarza.

— Jak to? Przyjeżdża w gościnę i z wojskiem? Jak nieprzyjaciel?

— Ot, bajczysz. Jakie tam wojsko! Ze czterdziestu rycerzy, uzbrojenie na śmiech, prawie do weselnych godów. Czy nie widzisz, co za strojne pancerze, srebrną i złotą blachą zdobione, a na szyszakach co za pęki piór? Przyłbice mają podniesione, same młode, ładne chłopcy, mało co chyba starsi ode mnie. Każdy koń ma srebrny bukiet u czoła, a na łbie pióropusz.

— Chciałbym ja mieć kiedy takowy strój dla siebie i rząd na konia!

— Sześciu trębaczy... też konno...

— To heroldowie.

— A ci czterej w kusych kabatach szkarłatnych, obcisłych czarnych nogawicach i beretach ze wstęgą czarno-żółto-czerwoną?

— To zda się giermkowie cesarscy. Prowadzą mu wierzchowce do zmiany. Widzisz ano, każdy na zacnym rumaku jedzie, a trzykroć piękniejszego luzem prowadzi.

— Ojoj, a ci dwaj, w kierejach bławatnych, sobolami podbitych?

— To może krajczy i podczaszy cesarski?

— O, jakież to śliczne panięta! Przypatrz się ino, Hanuś, to są paziowie. Lajbiki szkarłatne, pasy ze złotej taśmy, nogawice czarne, berety i ciżmy żółte.

— A jak dobrani! Sześciu śniadych, z czarnymi główkami, a sześciu lnianowłosych, a białych i rumianych jak jabłuszka.

— O, Jezu najśodszy! Już jada! — krzyknęła Hanusia, wychylając się z okienka bez pamięci na niebezpieczeństwo; dobrze, że ją Maciek obłapił i z całej siły przytrzymał, bo by jak nic z dachu zleciała. — Dawajcie kwiaty! Rzucajcie wszyscy! A gęsto! A ciągle! Raz za razem. O, Jezu! Toć to nasza księżniczka, nasze złotości! Nasz król ukochany! A... a... gdzież pan młody?

— No, ten, po jej prawicy.

— Chrystusowa matko! Ten dziad szpetny... to ma być pan młody?...

Ostatni jeźdźcy poprzedzający królewską trójcę minęli już kościół św. Wojciecha i wkraczali w ulicę Grodzką, a lud rozradowany witał wesolymi okrzykami umiłowanego króla, pannę młodą i przyszłego jej małżonka, cesarza niemieckiego, Karola.

W środku, między dziadkiem a narzeczonym, na siwym arabskim rumaku o grzywie długiej, srebrzystej, jechała Elżbieta pomorska. Kapa na koniu krwawoczerwona, złotem

<sup>46</sup>łańka — tu: kram, stragan, sklep. [przypis edytorski]

i srebrem tkana, turkusami haftowana, iskrzyła się w promieniach zachodzącego słońca. Młodzianka księżniczka, rumiana i złotowłosa jak jutrzienka, przybrana była pięknie i bogato. Na włosach, splecionych obyczajem polskich dziewcząt w dwa warkocze wolno puszczone, miała wianuszek z rozmarynu, sznurem pereł przewijany. Suknia obcisła, jedwabna, koloru majowej trawy, u góry na cal wycięta, zostawiała szyję wolną, rękawy zaś wąziutkie a długie zachodziły na całą rączkę, palców tylko nie zakrywając. Tak rękawy, jak i wycięcie u szyi, suto złotem i perlami było haftowane. W stanie ściśnięta li samym tylko krojem sukni, biodra miała nisko przepasane wstęgą złocistą, drogimi kamieniami gęsto naszytą. Długi płaszcz szkarłatny z przedniego aksamitu, białym atłasem podbity, na podwójnym łańcuchu klamrami spięty, spływał z jej ramion i okrywając wierzchowca, opadał do samej ziemi. Dwóch paziów w krótkich kabacikach barwy bławatka, w takichże nogawicach i czerwonych ciżemkach, prowadziło konia księżniczki za cugle.

Po prawej stronie Elżbiety jechał cesarz Karol, mężczyzna blisko pięćdziesięcioletni, otwarty bladej i nieco obrzmiałej, z wyrazem zmęczenia w oczach. Jechał na złotogrzywym kasztanie. Kapa aż się mieniła od różnobarwnych kamieni, a tak była szeroka i długa, że zakrywała całego prawie konia, ledwo mu trochę nóg było widać. Bukiet na łbie szczerzłoty i kita z piór strusich białych. Cesarz miał na głowie płaski, okrągły beret opasany płatem złotej lamy, związanej w misterny węzeł, a przepiętej wielką różą diamentową. Spodnią szatę miał ciemnomiedzianą, aksamitną, a płaszcz purpurowy, podszyty złotogłowie, bramowany wielce naówczas osobliwym i drogim futrem z gronostajów, spięty był na piersiach diamentowymi klamrami. Paziowie w barwie cesarskiej prowadzili konia.

Król Kazimierz jechał po lewej stronie księżniczki Elżbiety na karym wierzchowcu, równie bogato przystrojonym, jak cesarski, i przez dwóch paziów biało z czerwonym odzianych prowadzonym.

Postać uwielbianego przez cały naród monarchy jaśniała pogodą, wspaniałością i niezmiernym majestatem. Starszy od Karola o lat kilka, wydawał się młodszy odeń wiele. Okazałego wzrostu i dobrej tuszy. Twarz piękna, o rysach regularnych, okolona była gęstymi kruczymi włosami, które, mimo te kręte z natury, jeszcze i sztucznie gorącym żelazem trefione, w puklach spadały na ramiona. Toż samo i broda długa, ułożona kunsztownie jakoby w rurki, powabnie spływała na piersi.

Król polski miał na sobie długi szkarłatny żupan, z umysłu<sup>47</sup> ciasno skrojony, a od szyi do samego dołu na wielkie złote guzy opinany. Takiegoż koloru płaszcz, gronostajami podbity, włócił się niemal po ziemi.

Do pobieżnego opisanego stroju tych trojga książąt potrzeba dość czasu. Dzieci, pożerające wspaniały widok zachwycenymi oczyma, w jednej chwili objęły wszystko wzrokiem.

Wolna przestrzeń przed prowadzonymi przez paziów rumakami pokryła się kobiercem polnych kwiatów, a wiązanki, rzucane pełnymi garściami, sypały się prawdziwie jak grad z poddasza kamienicy Wierzynekowej. Dostojni jeźdźcy zauważyli z upodobaniem hołd złożony im w tak wdzięcznej formie, lecz jedna tylko Elżbieta zmiarkowała, z którego domu i z jakiej wysokości kwiaty padały. Podniosła niespodzianie głowę i spotkała się oko w oko z rozognioną szaleńską radością twarzą Hanusi.

— O Jezu... Widziała mnie! Patrzy na nas!... Śmieje się, kochanie najcudniejsze!

Hanka porwała ze dwadzieścia bukietów i rzuciła je pod nogi księżniczce. Kilkanaście padło na ziemię, a dwa w nadstawione ręce Elżbiety.

— Ot, i skończyło się, przejechali... Już jej nie zobacze! — zawołała Hanusia i zaniósł się głośnym płaczem.

— Cichoże, niemądra! Jeszcze tyle mamy do oglądania. Pojrzyj ino, panny dworskie jadą... Hanuś, prędziej!

— Dajcie mi spokój! Jużem niczego nie ciekawa.

— Nie? A to siedź w kącie i mazgaj się.

— A dwóch biskupów w lektykach nie chcesz?

— Niech sobie jadą z Panem Jezusem.

— Oho, cóż to za halabardnicy znowu?

<sup>47</sup>z umysłu (daw.) — rozmyślnie, specjalnie. [przypis edytorski]

— To... Albo ja wiem? Najprędzej będą te Duńczycy, co z królem Waldemarem przybyli. Juźci, dobrzem trafił, bo tuż za nimi jadą znów giermkowie z wierzchowcami, a jednego z nich wczoraj poznałem na mieście. Duńczyk jest, ale po niemiecku umie, ja zaś nieco rozumiem, tośmy się piąte przez dziesiąte rozmówili.

— A to co za pokraka?

— Hanuś, Hanuś, chcesz widzieć karzełka?

Przemogła ciekawość, zerwała się Hanka z kącika, w którym odprawiała gorzkie żale, i z buzią mokrą jeszcze od łez wyjrzała przez okno.

— Karzełek? Gdzie karzełek? Co to takiego?

— Widzisz — pokazał Stanko palcem — widzisz to małeńkie brzydactwo o starej głowie na grubym kadłubku i króciutkich nóżkach? Jedzie na szkapce też takiej niewyrośniętej, jako i on sam. Obmierza potwora! Skąd się to wzięło między państwem?

— Nie słyszałeś nigdy — rzekł Kuba — że na królewskich dworach lubią chować przeróżne dzikie zwierzęta z dalekich krajów, ptaki gadające i takie ludzkie niewydarki? Najbardziej toto w lasce pańskiej opływa. Zuchwałe to i pyszne... Im paskudniejsze, tym się bardziej nadyma.

— A czyż ten jest?

— Pewnikiem duńskiego króla zabawka, bo oto patrzaj, harcuje wedle giermków, plecie im widno koszalki opalki, a ci aż się koniom na szyję kładą ze śmiechu.

— A tenże błąd pan taki strojny. Nie wiesz, kto jest?

— Gdzie?

— Za tymi rycerzami, co ano trójkami jadą. Nie widzisz? Dwóch razem, konie pod nimi piękne, rzędy złociste.

— Aha... Ten rudy? Kto by to był... Chyba nie kto inszy, ino sam król duński. Ojciec gadali wczoraj, że słabowito wygląda, a zły i kwaśny, jakby się octu napił. On ci, on brwi nasrożył, a z góry na lud spoziera. Oj, nie chciałbym ja takiego pana mieć nad sobą!

— Nie masz to, jak nasz król miłościwy!

— A ten drugi, co wedle niego jedzie, to znów cał odmienny. Młody i urodziwy, oczyma strzela na prawo i na lewo... Śmieje się... A kędzierzawy jak Żydowin... Wiem już, wiem! To będzie ten zza morza, król Cypru i Jerozolimy, co jeździ po chrześcijańskich stolicach i na krzyżową wyprawę rycerstwo zwołuje.

— Jedno mi dziwne...

— Cóż takiego?

— Że nigdzie dotąd króla Ludwika ani księcia Bogusława nie uwidziałem.

— I to ci wytłumaczę, bo i o tym u rodzica mego mowa była. Ludwik z Bogusławem aż na samym końcu, jeszcze za miastem gdzieś będą.

— Siostrzan królewski i zięć na samym końcu? Obraza!

— Oj, senatorska głowo! Szkoda, że ciebie na radę nie wzywano. Sam król tak zarządził i mądrze zarządził, jako wszystko mądre jest, co czyni. Miarkuj ino: on sam, jako pan i gospodarz, jedzie przodem z najzacniejszych gośćmi; by zaś właśnie jakoweś nieprzystojne obrazy i niesnaski między książętami nie wynikły, co łącznie na takim zjeździe może się przytrafić, polecił Ludwikowi i Bogusławowi resztę gości w opiekę. Wždy książę pomorski tu, w Krakowie, jakby we własnym domu, a Ludwik ma zapewniony tron po Kazimierzu, to i słusznie, by trudy przyjęcia na równi z najjaśniejszym panem ponosili.

Tak rozprawiał Kuba z Radzimina, a chłopcy słuchali go uważnie. Pochód królewskich gości ciągnął się jeszcze nieprzerwanym sznurem, dzieci jednak, zmęczone długo trwającym widowiskiem, usunęły się s okienek, usiadły na starej skrzyni i odpoczywały.

Nagle doleciał ich uszu gwar wzmożony i głośnie wrzaski a śmiechy.

Przyczyną tych okrzyków byli czterej jeźdźcy na wielbłądach, przyboczna służba króla Piotra cypryjskiego. Trzej z nich, Arabi w białych burnusach i żółtych turbanach, spoglądali na tłum ze wzdurliwą powagą. Czwarty, hebanowej czarności Murzyn przybrany czerwono, szczyrzył zęby do zdumionego ludu i uspokajał małą rudawą małpkę, która spłoszona obejmowała go łapkami za szyję.

Sześć zaciekawionych głów wychyliło się znowu ze strychowych okien Wierzyńskiego domu.

Hanusia spojrzała w dół i z przeraźliwym krzykiem odskoczyła od okna.

- Hanuś, czego się trzęsiesz? Co ci to?  
— Wszyscy święci, ratujcie!... Diabeł ze swoim synem!

#### 4. KŁOPOTY PANI JANOWEJ

Przeszło od dwóch tygodni królewscy goście bawili już w Krakowie, podejmowani z niesłychanym przepychem i wspaniałością przez Kazimierza Wielkiego. Współcześni kronikarze piszą, że cały ten długi szereg dni był jedną nieprzerwaną prawie ucztą, jednym bankietem.

Na trzeci dzień po przyjeździe cesarza niemieckiego odbyły się zaślubiny jego z księżniczką Elżbietą w katedrze na Wawelu. Wszyscy królowie i książęta, rycerze obcy i swoi, nuncjusz papieski i całe polskie duchowieństwo — zgromadzili się na tę wielką uroczystość w kościele, a starzec dziewięćdziesięcioletni, arcybiskup gnieźnieński, Jarosław<sup>48</sup>, związał stulą ręce cesarskiej pary.

Biesiady, festyny, tańce, turnieje i gonitwy, rozrywki wszelakie trwały od rana do późnej nocy. Przerывano je dla krótkiego wypoczynku, by wczesnym rankiem zacząć szaleć na nowo. Król Kazimierz obsypywał swych gości sutymi podarunkami. Nie była to już hojność pańska, ale raczej zbytek i rozrzutność nie liczącego swych skarbów bogacza.

Mikołaj Wierzynek, oddany całą duszą umiłowanemu królowi, pełnił wszystkie jego polecenia, baczył, by goście w niczym nie zaznali braku, wymyślał coraz nowe rozrywki, sprowadzał bezustannie z włości królewskich zapasy, o winie pamiętał, służbę nadzorował. Słowem, nic jego oku nie uszło, był wszędzie, kierował wszystkim.

Król z wielkim uznaniem przyjmował jego zachody i gdy raz na chwilę znaleźli się sami, rzekł, łaskawie kładąc mu rękę na ramieniu:

— Czym ja wam się wywdzięczę, mój stolniku, za tyle trudów, za waszą pracę?

— Jeślim ino zasłużył, miłościwy panie — odparł Wierzynek — to i nagroda łąco by się znalazła.

— A jakież? — spytał król nieco zdziwiony tą odpowiedzią, znał bowiem bezintereso-wność Wierzyńka i nie przypuszczał, by mu o jakiś dar lub wysoki urząd chodziło.

— Wielką a pokorną prośbę zanoszę do was, najmiłościwszy królu. Obyście mi raczyli nie odmówić.

— Mówcie śmiecie, panie stolniku!

— Oto siedemnaście już dni przebywają monarchowie w gościnie na Wawelu. Gdybyście, najjaśniejszy panie, zechcieli razem z ich dostojnymi osobami przyjść pod mój dach ubogi i zjeść łyżkę strawy przy stole swego wiernego sługi... To by była nagroda nad nagrody, pamiątka dla rodu mego po wsze czasy.

— Chętnie to uczynimy! Przyrzekam za siebie i w imieniu moich gości. A na który dzień nas za... za... zapraszacie? — Kazimierz czasami zaciął się z lekką w mowie.<sup>49</sup>

— Dziś mamy piątek. Jeśli wola i łaska miłościwego pana mego i króla, to wtorek będzie najpiękniejszym dniem mego życia.

— Zgoda. A przysposóbcie dużo i smacznie, bo zapowiadam, że z wilczym głodem was najedziemy.

— Czym chata bogata, tym rada — odpowiedział skromnie Wierzynek.

Biedna pani Janowa! Biedna ciotka Rafałka! Cud prawdziwy, że ze zmęczenia, pośpiechu i obawy, czy sprostają ciężkiemu zadaniu, na dobre głów nie potraciły. Dopomagał im wprawdzie radą pan Mikołaj, wielce doświadczony w urządzaniu biesiad i festynów, ale i on nie mógł być ciągle w domu, a kobiety wpadały w rozpacz o najmniejszą drobnostkę.

Kasztelan krakowski przysłał własnego kucharza pod rozkazy pani Janowej, pan z Ossolina również, z królewskiej kuchni wypożyczono jednego. Cztery dziewczki, osadzone w izdebce za piekarnią, od rana do nocy skubały kury i kaczki. W poniedziałek wczesnym rankiem włóczkowie nadwiślańscy dostawili dwie kadzie szczupaków i karpi. Paszтетnik księdza biskupa sposobił frykasy i słodkie dania, a obie panie Wierzyńkowe biegały to tu, to tam, pomagały wszystkim i ślubowały złote serduszka Panu Jezusowi u franciszkanów, jeżeli ów straszny wtorek z chlubą, a przynajmniej jako tako przeżyją.

<sup>48</sup>dziwiewięćdziesięcioletni arcybiskup gnieźnieński, Jarosław, związał stulą ręce cesarskiej pary — wg Długosza. [przypis autorski]

<sup>49</sup>Kazimierz czasami zaciął się z lekką w mowie — wg Długosza. [przypis autorski]



Największą komnatę z całego domu, piękną, sklepioną izbę o czterech oknach, przeznaczono na salę biesiadną. Podłogę pokryto wzorzystymi kobiercami, okna otoczono wieńcami z choiny, na ścianach rozpostarto przepyszne, złotem tkane makaty, a stary Bartosz, karbowy z Prądnika, przywiózł pełen wóz świerków i sosenek do umajenia schodów i świetlicy.

Właśnie wniesiono drzewka na górę i pani Tomaszowa tłumaczyła parobkom, jak je mają w czterech kątach komnaty ładnie ustawiać, gdy z drzwi alkierza wychyliła się ciekawa główka Hanusi.

— Ciotuniu, można? Matusia nie przyjdą tutaj?

— Chcesz czego od matusi?

— Niech Bóg zachowa! Oni tacy teraz gniewni cięgiem, wolę im się nie plątać pod nogami.

— A mnie się to nie boisz, zuchwalcze jeden?

— A nie, bo mnie zawsze pieścicie i całujecie, to co bym się miała bać?

Objęła ciotkę za szyję i przytuliła różową buzię do jej twarzy.

— Ciotuniu, prawda, że dziewczce to strasznie źle na świecie?

— Dlaczego?

— A bo źle. Jakbym była chłopcem, to bym się przebrała bodaj za pacholika do posług. Stałabym gdzie na boku i widziałabym wszystko, co się tu jutro dzieć będzie. Napatrzyłabym się choć na ostatek naszej cudnej księżniczce Elżbiecie, zanim od nas wyjedzie, a tak co? Zamkną mnie matusia w komórce jak kurczę w kojcu, choć weź taj płacz...

— Na to nie ma nijakiej rady, mój biedny robaczku — rzekła ciotka Rafalka, gładząc jasne włoski Hanusi.

— Ee... co by ta rady nie było — wtrącił się stary Bartosz poufale do rozmowy; pięćdziesiąt lat służył u Mikołaja Wierzyńka, wszystkie dzieci i wnuki na rękach nosił, toteż bardzo go lubiano i uważano za należącego do rodziny.

— A co? Ja wiedziałam, że jak nikt nie pomoże, to ino do Bartosza jak w dym.

— Więc jakżeby to zrobić, moiściewy kochani?

— A nie będą jej miłość swarzyć?

— Mówcie, mówcie. Rada usłyszę, coście umyślili.

— Ano, kiej dziecko chce patrzeć na ono państwo przy obiedzie, to musi w tej samej izbie siedzieć. Czy nie tak?

— Wždy wiecie dobrze, że to nie wolno.

— Już by ja tak umiarkował, coby się przez<sup>50</sup> pozwolenia obeszło.

— Mój Bartoszu, mój złoty, jakże to? — piszczala Hanka, skacząc z niecierpliwej ciekawości przed starym.

— Ano tak: stawia się sosenki i świerczki po kątach świetlicy, tedy w jednym kącie zagać gęściej, a nie dosuwać do samej ściany, coby się Hanusia mogła z czubkiem i z kieckami schować, a między gałązeczki oczka wścibić i przez<sup>51</sup> nijakiego strachu na cesarza i króle spoglądać.

— Ciotusiu! Zrobimy tak!

— Samaś mówiła tylko co, że cię matusia zamkną w komórce.

— Wždy nie na kłódkę, ino na zasuwę... Ciotunia zagadają matusię w kuchni, a Bartosz mnie tymczasem wypuści.

— Oj, Hanuś, Hanuś!

— Ino mnie nie wydajcie, to wszystko będzie dobrze.

— A nie boisz się kary boskiej za nieposłuszeństwo?

— Stryj Daniel powiadali, że Pan Jezus kocha dzieci, to co by miał mnie karać?

— Kocha, ale dobre, pocziwe dzieci, a nie takie zbytniki, jakoś ty jest.

Hanusia spuściła główkę i odeszła do alkierza zasępią. Po drodze jednak pociągnęła nieznacznie Bartosza za sukmanę, a on zmrużył lewe oko i uśmiechnął się znacząco.

Kącik za choinkami miała zapewniony.

<sup>50</sup>przez (daw., gw.) — tu: bez. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>przez (daw., gw.) — tu: bez. [przypis edytorski]

## 5. UCZTA U MIKOŁAJA WIERZYŃKA

Pan Mikołaj Wierzynek oczekiwał gości.

Z grona rycerzy polskich i niemieckich najznamienitsi tylko zostali zaproszeni ze względu na brak miejsca. Ci naturalnie stawili się wcześniej, by razem z gospodarzem powitać królów i cesarza.

Rojno i gwarno było przed bramą i w sieni. Migotały złotogłowa i szkarłaty, lśniły od słońca klamry i pasy złociste, barwami tęczy mieniły się drogie kamienie.

Z uderzeniem południowej godziny przybieżał konny posłaniec z Wawelu, zwiastując, że ich cesarskie i królewskie moście już jadą. Rycerstwo rozstało się na dwie strony i uszykowało szeregami, w bramie zaś stanął gospodarz z synami, księdzem Danielem i księdzem Mikołajem.

Niebawem nadjechali. Tym razem nie konno, ale w lektykach. Cesarz Karol z młodszą małżonką w jednej, Kazimierz z Waldemarem w drugiej, następnie nuncjusz z księciem Bogusławem, Ludwik węgierski z Piotrem cypryjskim.

Oblicze Wierzyńka jaśniało niewypowiedzianą radością. Pierwszy to raz, jak Polska Polską, a Kraków Krakowem, tak wielki zaszczyt spotykał mieszczanina. Toteż chylił głowę w niskim pokłonie, podając na złotej ozdobnej tacy chleb, sól i klucz do domu Kazimierzowi. Starodawna ta ceremonia oznaczała, że król wszędzie jest panem, a czyjekolwiek progi przestępuje, we własny dom wchodzi. Kazimierz dotknął z lekka palcami klucza, po czym objął pochylonego starca za ramiona i przycisnął go serdecznie do piersi. Następnie witał Wierzynek cesarza i królów z wielkim uszanowaniem, ale już nie tak skwapliwie a kornie, jak króla polskiego.

Kazimierz, przyjmując na chwilę rolę gospodarza, ustąpił pierwszeństwa przy wejściu Karolowi. Po schodach ubranych zielenią i kobiercami weszli goście do wielkiego przedsionka, następnie do świątyni przystrojonej świetlicy. Na środku komnaty przygotowany już był stół do uczy, białym atlasowym obrusem zasłany, ze złotymi talerzami i roztruchanami<sup>52</sup> dla monarchów, a srebrnymi dla reszty gości. Gąsiorzy z winem i miodem, gęsto rozstawione, wywołały uśmiech zadowolenia na twarze cesarza Karola i Waldemara duńskiego.

Dwunastu pacholików w białych wiejskich sukmanach stało rzędem pod ścianą na prawo od wejścia: sześciu z nich trzymało oburącz miednice srebrne, a drugich sześciu — srebrne dzbany pełne wody. Każdy zaś miał przewieszony biały ręcznik przez ramię.

Nie znano jeszcze w owych czasach widelców, przed każdym więc jedzeniem umywalno sobie ręce, by czystymi palcami dotykać mięsa i innych potraw, których nie dało się jeść łyżką. Tak samo i po skończonym obiedzie lub wieczerzy znów następowało mycie rąk. Po dopełnieniu tej czynności oczekiwano wezwania do stołu.

I przystąpił Wierzynek do króla Kazimierza, a obejmując go za kolana, zapytał, czy może przemówić słowo.

— Słuchamy was mile, mości stolniku — odpowiedział król łaskawie.

— Chcę prosić, by mi wolno było samemu przeznaczać miejsca dla moich najmiłościwszych gości.

— Zgadząmy się chętnie — rzekli wszyscy.

— Tobie, najjaśniejszy panie — zaczął Wierzynek — winien jestem wszystko, co mam. Ty swoimi dobrodziejstwami bez miary wzbogaciłeś mnie — przybysza, między najpierwszymi panami posadziłeś mnie — gościa w swoim królestwie. Tobie też pierwsze miejsce u mojego stołu!

I posadził Kazimierza najwyżej<sup>53</sup>.

Po jego prawicy dał miejsce cesarzowi i młodej pani, po lewej usiadł nuncjusz, król Ludwik węgierski, naprzeciw nich Piotr cypryjski, Waldemar duński i Bogusław szczeciński. Poniżej rozmieścili się senatorowie i rycerze według wieku i dostojności. Burmistrz krakowski był naturalnie także między zaproszonymi.

Rozmawiano przy uczcie po czesku i po łacinie. Cesarz Karol, mieszkając stale w Pradze, najchętniej posługiwał się językiem czeskim, który w XIV wieku bardzo mało różnił

<sup>52</sup>roztruchan (daw.) — kielich, naczynie do picia. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>Wierzynek (...) posadził Kazimierza najwyżej — wg Długosza. [przypis autorski]

się od polskiego. Król Kazimierz zatem, rycerstwo polskie, cesarz i dwór wybornie się porozumiewali w tej pokrewnej mowie. Nuncjusz zaś, król Piotr cypryjski i Waldemar duński rozmawiali ze swymi sąsiadami przy stole po łacinie.

Kapela, złożona ze skrzypków i lutnistów, przygrywała skoczne i wesołe piosenki. Osadzono zaś grajków w sąsiedniej komnacie, by nadto głośnie dźwięki nie przeszkadzały panom w rozmowie.

Krajczowie królewscy stanęli za krzesłami swoich panów, by im, jak ceremoniał wymagał, nabierać potrawy na talerze i krajać w drobne kęsy, co już bez kłopotu można było brać palcami, kłaść na chleb i spożywać.

Rozpoczęła się uczta.

Więc najpierw wniesiono dwie olbrzymie srebrne wazy: w jednej krupnik jęczmieniowy, gęsty, z drobno pokrajany tłustym mięsem wołowym i kawałkami kury, w drugiej zaś wazie kwaśna polewka ze szczawiu z przysmażonymi skwarkami i kielbasą, ulubiona zupa Kazimierza Wielkiego. Zaraz potem przyniesiono gotowane mięso z żubra, gorącą śmietaną zalane, grzankami z świątłego chleba w maśle przypiekany obłożone. Następnie głowy z dzików w galarecie, czyli, jak się wówczas nazywało, z zastudzoną juszka. Potem kruszki cielęce na rumiano.

Ponieważ największą chlubą sztuki kuchennej owych czasów było przystrojenie mięsa lub jarzyny w ten sposób, aby najrozmaitszymi pomysłami utrudnić poznanie potrawy, przeto ukazanie się każdego nowego półmiska wywoływało okrzyki zdumienia i żartobliwe sprzeczki, co by to było za tajemnicze dziwo.

— Spróbuj, wasza cesarska mość, a nie pożałujesz — doradzał Kazimierz, widząc, jak cesarz Karol odsuwa ręką talerz podawany przez krajczego.

— Nie lubię jeść, gdy nie wiem, co spożywam — odparł Karol z cicha.

— To łosie chrapy, przysmak nad przysmaki! Wierzaj mi, wasza miłość, tego nie uwidzisz gdzie indziej, jak w Polsce, a warto na ząb położyć.

Dał się cesarz namówić, pochwalił potrawę i dodał:

— Żebym to ja miał choć parę tych zwierząt w moim zwierzyńcu w Pradze!

— Nie wiem, zali się uchowają w nie... niewoli. Łoś lubi się kryć w lasach niezmiernych. Puszcza Niepołomska to jego mieszkanie! Chy... chyba, żebym ci ze sześć przysłał, a nuż się rozmnożą.

— Wdzięcznie przyjmę tak wspaniały podarunek od waszej królewskiej mości.

— Szczupak w Maćkowej juszce<sup>54</sup>... Najjaśniejszy panie? — szepnął krajczy Kazimierzowi tonem pytania.

— Dawaj, dawaj, byle dużo!

Wnoszono misy jedne za drugimi. Ach, czego tam nie było! Niedźwiedzie łapy duszone z miodem i gorczycą; karpie gotowane w winie i pokryte siekanymi jajami; combry sarnie z przyprawionymi głowami i ogonami z ryb dla zaciekawienia biesiadników; gęsi gotowane w śmietanie z grzybami; prosięta nadziewane kaszą i kluskami; przepiórki pieczone, ułożone w kształcie piramidy, z połączonym drewnianym ptaszkiem u szczytu; do tego na osobnych miskach suszone śliwki i gruszki gotowane na rzadko; ogony bobrowe garnirowane jęczyzkami karpimi; skowronki zapiekane w cieście; kaczki nadziewane jabłkami itd., itd., itd.

W niedomkniętych drzwiach od kuchni można było tymczasem dojrzeć osobę pani Janowej, jak pouczała pacholików, by ostrożnie misy podawali, a broń Boże tłustym sosem którego z biesiadników nie oblali. Chwilami stawała w progu i okiem dowódcy na polu bitwy obrzucała całą komnatę, po czym nie postrzeżona przez nikogo chowała się szybko za kotarę.

Wierzynek i obaj jego synowie nie spoczęli również na mgnienie oka, nie przysiedli na chwilę. Musieli pilnować usługi, patrzeć, by każda potrawa po dwakroć była podawana, by goście nigdy próżnych kielichów przed sobą nie mieli.

Stary miód i wina przednie łąły się strumieniami. Królowie przypijali do siebie, to znów wznosili puchary na cześć gospodarza, jego synów, jego rodziny. Dzięki tym wszystkim toastom coraz gwarniej robiło się przy stole, wesołość powszechna zapanowała w sali. Błaznowie królewscy przebiegali dokoła świetlicy, zaczepiali gości, a nawet swoim panom

<sup>54</sup>szczupak w Maćkowej juszce — w sosie z rozmaitych jarzyn i korzeni (Golembiowski). [przypis autorski]

przymawiali, co im — jako błaznom — bezkarnie uchodziło pod warunkiem, by koncept zaprawiony był dowcipem. Toteż wybuchy śmiechu głużyły nawet muzykę.

— O zakład! — zawołał Pliszka, błazen króla Kazimierza.

— Niech będzie — zgodził się Wyrwał, czeski trefniś cesarza Karola.

— A kto osądzi?

— Mój pan.

— Nie, mój pan!

Tu przyskoczył do nich karzełek Waldemara.

— Nie spierajcie się! Błaznom błazeński sąd przystoi. Ja będę rozstrzygał.

— A po co? — Wyrwał przyskoczył do cesarza. — Karolku, oni chcą błazna na sędziego... Mianuję cię moim sędzią!

— Tego już zanadto — odparł Karol, marszcząc brwi. — Pójdiesz mi zaraz do marszałka, niech ci każe wyliczyć dwadzieścia!

— Dukatów? Dziękuję ci, Karolku.

— Dwadzieścia różeg!

— Dlaczego? Jakim prawem? — zapiszczał trefniś. — Za kłamstwo ino różgi mi się należą, a nie skłamałem przecie: pijany a błazen, to braterska para. Czyż nie jesteś pijany, Karolku? — I odskoczył ze śmiechem na stronę. — Nie chcesz, to się obejdzie. Potworek nas osądzi. Słuchaj, Pliszka twierdzi, że zna takiego, co własną swoją głowę z tyłu pocałuje, jeżeli zechce. Ja powiadam, że nie.

— A ja gadam, że tak.

— I założyliśmy się.

— A o co?

— O srebrne dzwonki do czapki, które mój albo jego pan sprawi temu, co wygra.

Podali sobie ręce. Potworek uderzył w nie z lekka swym kijkiem, po czym zawyro-  
kował:

— Takiego nie ma na świecie, co by się w głowę mógł pocałować, ino jeden taki był: święty Dionizy.

Panowie przysłuchujący się sprzeczce zdumieni się bardzo, a Bogusław szczeciński za-  
pytał:

— Święty Dionizy? Jakże to?

Potworek wznosił oczy w górę i odpowiedział, strojąc pobożną minę:

— Mało się przykładałeś do nauki, mój kochany, kiedy tego nie wiesz. Gdy pogański tyran kazał ściąć głowę świętemu Dionizemu, tenże ukląkł, podniósł ją z ziemi i trzykrot-  
nie w czoło pocałował. O tak.

— Sprawiedliwie powiadasz, ino święty godzien był taki cud uczynić.

— Ot, plecie głupek ni w pięć, ni w dziewięć — przerwał ze śmiechem ksiądz Daniel Wierzynek. — Jakoż mógł się pocałować? Wždy<sup>55</sup> w szyi gęby nie miał!

— O, zdrajco jeden! — zawołał Bogusław zawstydzony. — Ciebie plagi nie miną, boś kłamał.

— Sam sobie przeczysz — odparł błazen drwiąco. — Mam na to świadków, jakoś rzekł „sprawiedliwie powiadasz”.

Słuchacze parsknęli śmiechem, a Bogusław udał, że rozmawia z Waldemarem.

Wyrwał tymczasem przyskoczył do Pliszki i domagał się rozwiązania zagadki:

— Chodź ze mną, a dowiodę ci, żem wygrał.

Podszedł do króla, pokłonił się i prosił:

— Kazmierzu, daruj mi złoty.

— Naści — odparł król, wyjmując pieniądz z kalety.

— Niech mnie cały świat sądzi, zalim skłamał! — zawołał głośno Pliszka. — Czyż tu nie jest wryta głowa naszego miłościwego pana? A czy nie może pocałować jej z tyłu, jeżeli zechce?

I znowu wszyscy w śmiech, a Wyrwał przewrócił koziołka z wielkiej rozpaczy.

— W mojej ojczyźnie — rzekł król Piotr cypryjski z rodu francuskich książąt de Lusignan — sprowadzają na książęce dwory trubadurów, a ci pięknie przyśpiewują przy biesiadach. Czy w Polsce nie ma takiego zwyczaju?

<sup>55</sup>wždy (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

— Trubadurów nie mamy — odpowiedział siedzący naprzeciw Piotra ksiązę Bolko świdnicki — ale grajkowie nasi nie najgorzej śpiewać umieją. — Tu zwrócił się z uprzejmym skinieniem głowy do Wierzynka. — Czy gospodarz pozwoli, by który z lutnistów przyszedł do stołu z piosenką.

— Nie jeden, ale trzech oczekuje na zawołanie, miłościwy ksiązę — odpowiedział Wierzynek i klasnął w ręce.

Był to widocznie znak umówiony, gdyż w tej chwili, jakby spod ziemi wyrosli, stanęli przed gośćmi trzej odświętnie ubrani młodzieńcy, z hiszpańskimi lutniami w rękach. Pokłonili się nisko i czekali rozkazów.

— Cóż, Łukaszku, ułożyłeś jakąś piosenkę na dzisiejsze święto? — spytał król Kazimierz najmłodszego ze śpiewaków, szczupłego bruneta o żywych piwnych oczach i wesołym uśmiechu.

— Zezwoli najmiłościwszy pan, to ją zaśpiewam.

Struny lutni zadźwięczały jakąś rubaszną, dziarską nutą, Łukaszek powiódł wzrokiem po dostojnych biesiadnikach, a zatrzymawszy spojrzenie na twarzy cesarza Karola, śpiewał:

Hej, miodu gąsior, wina dzban!  
Kto wiele pije, wielki pan!  
Nieboszczyk Noe mądry był,  
Wody się lękał, wino pił.  
Dwaj jego syny pili z nim,  
A trzeci nie chciał, bo był złym.  
Klątwę nań rzucił Noe sam.  
Ten głupi synek zwał się — Cham!  
Że od Jafeta wiem ród,  
Więc pijmy wino, pijmy miód!

— Więc pijmy wino, pijmy miód! — powtórzyli chórem biesiadnicy, trącając się pucharami.

— Dobrześ się spisał — pochwalił król, rzucając zręcznie małą jedwabną kieskę w stronę śpiewaka. To samo uczynił cesarz i król Waldemar.

Łukaszek podniósł ciężkie złote sakiewki, raz jeszcze złożył ukłon i odskoczył na bok.

— Może miłościwa pani raczy objawić swoje upodobanie? — spytał Elżbiety gospodarz domu. — Ci dwaj mają kupę śpiewek na każdy dzień. Jest w czym wybierać.

— Coś smutnego umiecie? — spytała młodziutka cesarzowa.

Dziadek, mąż i ojciec wpadli w jej mowę.

— Smutnego?... Po co? — spytał cesarz.

— Zepsuje nam ino uciechę — dodał Kazimierz.

— Nie trzeba, nie trzeba. Wesołej chcemy piosenki! — stanowczo zawołał Bogusław.

— Rozumiałam, że gdy wybór mojej woli zostawiony... — rzekła Elżbieta. — Ja tak lubię smutne pieśni...

— Niech się więc stanie według twego żądania — zawyrokował cesarz, całując rączkę małżonki.

Zwrócony ku pani młodej, śpiewak potrzącał z lekka struny lutni, widocznie przygotował sobie same weselne i biesiadne piosenki, toteż zaskoczony niespodziewanym żądaniem, brzdąkał przegrywkę, przymrużając oczy, i szukał w pamięci.

Statek płynie  
Po głębinie  
Morskich fal.

Pełen gwarów,  
Śmiechów, swarów  
Płynie w dal.

Wieżie szaty  
I bławaty,

Zboże, len.

Wstęgi krasne,  
Płótna jasne  
Wieżie hen...

Wśród promieni,  
Światel, cieni  
Żwawo mknie.

Woda błyska,  
Pianą pryska,  
Życiem tchnie.

Oj, sterniku...  
Oj, sterniku...  
Po co łzy?

Słońce świeci,  
Ujrysz dzieci  
Za dwa dni.

Łódź twa chyża,  
Brzeg się zbliża,  
Skąd ten lęk?

Wtem od wody  
Poszły chłody,  
Wionął jęk...

Sine morze  
Wicher orze,  
Chłoszcze grom,

W toni skryta  
Śmierć go wita:  
Tu twój dom!

Śpiew, Łzy

— A widzisz? Trzeba ci było rodzica słuchać! Teraz płaczesz...

— Ja lubię płakać, panie ojcze.

— Dajże ci, Boże, zdrowie z takim lubieniem! Inom spojrzął na onego, już mię na wnętrzu zemdlilo. Taki błady, włosy w kędziorach jak u dziewczki, to i kwili niczym czajka.

— Panie ojcze, on bardzo pięknie śpiewał! — oburzyła się Elżbieta.

Otarła szybko oczy, odpięła z ramienia bogato haftowaną wstęgę i wraz z przepinką wysadzaną szafirami podała ją śpiewakowi, zapewniając go uprzejmymi słowy, że piosenka, acz bardzo smutna, nadzwyczaj się jej podobała. Ten zaś, przykląkszy na jedno kolano, z uwielbieniem dziękował.

— Oho, nie damy ci długo nad onym żeglarzem lamencić! — zawołał król Kazimierz do wnuczki. — Hej, pieśniarzu! Krakowskiego! A od ucha! Jak się dobrze sprawisz, nagroda cię nie minie.

Grajek rzucił lutnię na ławę, poskoczył do drugiej izby i natychmiast wrócił ze skrzypcami w rękę. Przytupnął nogą jak do tańca, przejechał smyczkiem po strunach i zaśpiewał:

Na wawelskiej górze turkaweczka siwa,  
U naszego króla wnuczka urodziwa.  
Na wawelskiej górze rosną stare dęby,  
Do naszej panienki jadą dziewosłęby.  
Przyjechali z Rusi od kniazia młodego,  
Powrócili z niczym, nie chciała onego.  
Przyjechali z Niemiec od księcia wielkiego,  
Powrócili z niczym, nie chciała i tego.  
Nie przebieraj, panno, żebyś nie przebrała,  
Żebyś za sokoła wróbla nie dostała.  
Pojrzała na ptaki, co siedzą na dachu,  
Królewskam ja wnuczka, nie ma o mnie strachu.  
Pan Bóg miłosierny, a los różnie zdarza,  
Nie chciałam za księcia, pójdę za cesarza.

— Tak to lubię! Aże nogi same wyskakują przy onym śpiewaniu! — zawołał król Kazimierz.

Cesarz uśmiechał się zadowolony, a wszyscy słuchacze, którzy rozumieli po polsku, klaskali w ręce i chwalili piosenkę. Nuncjusz i król Piotr prosili o przetłumaczenie im treści krakowiaka, jeden tylko Waldemar siedział znudzony i osowiały. Prawdopodobnie rozważał w duchu, że stary miód polski i węgierskie wino obejdą się bez tłumaczenia na duńskie, a wszelkie granie i śpiewanie niepotrzebnie tylko drogi czas zabierają.

Grajek odszedł hojnie obdarowany.

Wierzynek dał znak służbie, która czekała końca piosenek, by nie przeszkadzać gościom w słuchaniu. Zaczęto wносить słodczyce i zamorskie frukta. Więc ciasta korzenne i kołaczki z makiem, kukielki z orzechami, a na sam ostatek marcepany, najnowsze dzieło pasztetnika, do których arcytrudnej recepty, a nawet pomocy użył mu zamilowany w sztuce kuchennej brat Laetus, kancelariusz nuncjusza.

Tak, ciasto było marcepanowe, kochani czytelnicy, ale... nie na tym sztuka. Sztuka właśnie polegała na przedziwnych wyrobach z tego ciasta. Nie potrafię opisać wszystkich konceptów pasztetnika, przytoczę zaledwie kilka: i tak, dwaj paziowie królewscy, zawezwani przez panią Janową jako najzręczniejsi, wnieśli ostrożnie na wielkiej tacy gmach piękny i postawili go przed Kazimierzem. Były to Sukiennice jota w jotę cudnie utrafiłone, jak je był właśnie król Kazimierz zmurował i ozdobił. Wszelakie okna, gzymсы, zagłębienia i ganeczki wybornie były oddane; dach z pomarańczowych skórek przycinanych w kształty dachówek; kramy i ławki kupieckie; wewnątrz zaś w każdym kramie zamiast towarów jakieś konfekta i przysmaki. Były więc ze swojskich owoców w jednym kramiku jabłka i gruszki smażone w miodzie, w drugim śliwki, w trzecim wiśnie, a tam gdzie w rzeczywistych Sukiennicach sprzedawano bławaty lub stroje drogocenne, ułożono pięknie pomarańcze włoskie, na wagę złota wówczas płacone, winogrona, daktyle, figi z Afryki, rodzynki greckie w różnych gatunkach, migdały, morele i brzoskwinie. Było co podziwiać, żal było tknąć, ale gospodarz tak nalegał, tak prosił, by choć z każdego kramu towarów pokosztować, że wreszcie, nie psując kunsztownego budynku, rozchwytało w mig smakowite specjały.

Jeszcze nie obejrzano dokładnie Sukiennic, gdy z pięknym pokłonem pacholik podał nowy jakiś figiel przewielebnemu nuncjuszowi. Była to naturalnej wielkości infuła, suto złożona, rodzynkami niby topazami a rubinami wysadzana.

— Raczcie ją, wasza przewielebność, bliżej przysunąć i wewnątrz jej zbadać — prosił ksiądz Daniel z tajemniczym uśmiechem. — Górna część da się podnieść.

Uczył to nuncjusz i cóż zobaczył? Oto malutki czerwony kapelusz opasany takimże jedwabnym sznurkiem w misterne węzły powiązany. Była to uprzejma przepowiednia kardynalskiej godności, wielce przez pomyślnie przeprowadzone poselstwo zasłużonej.

Niebiesko ubrany pazik Elżbiety postawił przed swoją panią półmiskę, jedwabną zasloną przykrytą. Pod zasloną leżał foremnie urobiony czepeczek mężatki, pomalowany w różnokolorowe arabeski z zapiekanej piany z białek, haftowany migdałami i rodzynkami, wysadzany kólkami z żółtej marchwi.

Uczta, Ptak, Panna młoda,  
Znak

— Spróbuj, czy ci w nim będzie nadobnie — rzekł małżonek.

— Za mały, ale spróbuję.

Podniosła czepiec, aż tu z głośnym trzepotaniem skrzydeł zerwał się z misy biały gołąbek i wyfrunął przez otwarte okno wprost na dach kościoła Panny Marii.

Głośnym śmiechem przyjęto nowy ten pomysł pasztetnika, a księżę Bogusław rzekł:

— Już tobie, moja córuchno, zakazane pustoty. Gołąbek cię odleciał, a czepiec pozostał.

— Nie liczcie zbyttno, panie ojczec, na moją stateczność, bo byście doznali zawodu. — To mówiąc dobiła z głębi czepca malutkiego wróbelka. — Ot, jeszcze coś niecoś zostało...

— Wróbelek, ale spętany! — zauważył król Kazimierz.

Sypały się marcepanowe figle bez liku. Cesarz dostał wspaniale wyzlacanego lwa w koronie. Waldemar okręt z żaglami i masztami jak najdokładniej wyrobiony. Piotrowi cypryjskiemu podano serce, wieńcem róż opasane, jako zachętę do zmiany stanu kawalerskiego na małżeński. Bogusław i Bolko — szyszaki piękne, napełnione konfektami. Dla wszystkich zaś biesiadników ustawiono na stole kilkanaście tac z przeróżnymi wykwiutnymi przysmakami.

Rozmowa przy nieustannie napełnianych kielichach stawała się coraz weselsza, śmiechy coraz donioślejsze. Wtem oczy wszystkich zwróciły się z nową ciekawością na dwóch pacholków dźwigających za ucha wielki srebrny sagan, szczelnie zamknięty pokrywą.

— Błagamy was o zmiłowanie, dostojny gospodarzu! — zawołał cesarz Karol ze śmiechem. — Jeszcze jakaś potrawa? Wždy<sup>56</sup> nasyciłeś nas nad miarę, więcej już i żywot<sup>57</sup> nie zdzierży.

Skłonił się Wierzynek, odpowiadając:

— Pokorny sługa wasz, panie, prosi byście raczyli... na pamiątkę dnia dzisiejszego... ile wola. — I podniósł pokrywę.

Sagan pełny był po brzegi nowiuteńkich złocistych dukatów.

W dzisiejszych czasach podarunek pieniężny uważano by niezawodnie za śmiertelną obrazę. W owych zaś dawnych wiekach tego rodzaju upominki nikogo nie dziwiły ani gniewały.

Cesarz zacerpnął pełną garścią z saganą i z uprzejmym podziękowaniem wyspał do kalety. Król polski wziął jednego dukata, mówiąc:

— Schowam go między miłe sercu pamiątki.

Stawiano sagan przed każdym gościem. Biesiadnicy raczyli się tą ostatnią potrawą z szalonym apetytem. Zwłaszcza niemieccy książęta i rycerze po kilkakroć zanurzali łakome ręce w złocie krakowskiego mieszczanina. A że od miodu i wina dobrze im już w głowach szumiało, więc w gorączkowym pośpiechu nie zawsze trafiali wprost do kieszeni i dukaty z brzękiem sypały się po podłodze. Baron Udo z Wartburga chciał je wyzbierać, ale pan Mikołaj powstrzymał go i rzekł z lekceważącym skinieniem ręki:

— Zaniechajcie, panie, szkoda waszego trudu. Z tych odpadków będzie uciecha dla służby.

Na dany znak sprzątnięto niepotrzebne już misy i talerze z resztkami jadła. Kawalki chleba zawinięto z ręcznie w wierzchni obrus biały, a pozostawiono drugi, karmazynowy, jedwabny. Służba wniosła świeży zastęp dzbanów i gąsiorów ku rozradowaniu serc niektórych biesiadników. Biedna księżniczka Elżbieta mrugała oczami i zasłaniała, ziewając, buzię rączką. Strasznie się jej przykrzyło takie długie siedzenie przy stole.

Król Kazimierz podniósł się z ławy.

— Całym sercem wam dziękuję, mości stolniku — rzekł — za wesołe godziny spędzone przy stole waszej miłości, lecz mielibyśmy wszyscy ciężki żal do was, gdyby... — zająknął się, jak zwykle, gdy dłużej mówił, a odchrząknąwszy kończył: — gdybyście nam nie pozwolili złożyć podziękii osobiście gospodyni tego domu, a umiłowanej synowej waszej.

Pani Janowa domyślała się, że w końcu uczytrzeba się będzie gościom pokazać, toteż gdy sagan z dukatami krążył dokoła stołu, ona skorzystała z wolnej chwili i przeszła do swej sypialni, by się przystroić, jak należało.

<sup>56</sup>wždy (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>żywot (tu daw.) — brzuch, żołądek. [przypis edytorski]

Pieniądz, Dar, Gospodarz,  
Gość

Niemiec



Posłano pazia z ukłonem od miłościwego króla i uprzejmym zaproszeniem do komnaty biesiadnej. Gdy pani Janowa ukazała się w progu, Kazimierz zawołał:

— Hej! Z pełnymi pucharami powstańmy, wasze królewskie i książęce moście! Godzi się wypić za zdrowie wielce nam milej i czcigodnej białogłowy, pani tego domu!

Wierzynek podał synowej złoty kubek z winem. Goście w porządku swego dostojenstwa podchodzili ku niej i spełniali jej zdrowie. Ona zaś, poważna i nieco zmieszana, dotykała ustami kielicha, upijając po kropelce.

Gdy młoda cesarzowa powstała z westchnieniem ulgi ze swej ławy i witała gospodynię, można się było dokładnie przypatrzeć, jak wspaniale i pięknie, chociaż wręcz odmiennie obie niewiasty były przybrane.

Pani Wierzynekowa, matrona nie pierwszej już młodości, ale okazałej postaci i pięknych rysów, miała na głowie, jak obyczaj wdowom nakazywał, leciuchny biały rańtuch z rzadkiej lnianej tkaniny, sitkiem zwanej. Rańtuch ten okrywał jej włosy i zachodził trochę na czoło. Dokoła zaś twarzy upięte były równie cienkie białe zawoje. Suknia obcisła z ciężkiej jedwabnej materii koloru słomy wlokła się z tyłu po ziemi. Na wierzchu druga, krótsza, bez rękawów, skrojona na sposób ornatów kościelnych, szeroko przecięta, by szyja i ręce łatwo wejść mogły, miała boki od dołu na trzy piędzi ku górze siecią ze złocistego sznura złożone. Ta zwierzchnia szata była barwy bławatka, szeroko dołem i około szyi złotem i perłami w kwiaty wyszywana.

Elżbieta zaś olśniewała młodością, urodą i przepychem. Na głowie miała wianek z różowych stokroci. Włosy, niemiecką modą środkiem rozdzielone, a od skroni w tył odczesane i wolno puszczone, spływały blisko do kolan. Suknię miała purpurową aksamitną, równą linią dość nisko ku ramionom wyciętą; rękawy długie, nie zszywane, spadały do samej ziemi; spod nich drugie wążiuchne ze złotej lamy zachodziły aż do pół palców. Suknia ta, o szerokim szlaku z drogich kamieni, podniesiona była z boku i ukazywała spodnią szatę, z teje samej złotej lamy, co rękawy.

Wypiwszy zdrowie gospodyni domu, biesiadnicy wrócili na swoje miejsca raczyć się dalej winem i miodem. Elżbieta zaś podeszła z panią Janową ku otwartemu oknu i rozmawiała z cicha.

— Tak się lękam onych krajów dalekich, onej Pragi nieznanej, gdzie mi przyjdzie na cały żywot zamieszkać... Nikogo nie mam swojego... — żaliła się młoda księżniczka, patrząc w oblicze starszej niewiasty z myślą o matce przed laty zmarłej.

— Nie trapie się, miłościwa pani, przed czasem — pocieszała Janowa Wierzynekowa. — Młodemu a dobremu wszyscy radzi. Któż by was nie miłował poznawszy? Znajdziecie i w Pradze serca wiernie oddane, a już co najjaśniejszy cesarz, to chyba na rękach was będzie nosił.

— Czwarta małżonka... — szepnęła Elżbieta sama do siebie i zapatrzyła się w białe chmurki, gnane wiatrem na zachód.

— Może raczycie przejść do dalszych komnat, jasna pani — rzekła pani Janowa, by przerwać to smutne zamyślenie cesarzowej. — Pokażę waszej cesarskiej mości nowy tkacki warsztat, podarunek pana ojca. Od najgrubszego płótna do najcieńszego sitka, wszelaki wyrób zdoli<sup>58</sup> uczynić, a do tego wielorakich misternych wzorów próbki są przydane, które łącno, przyuczyszy się, naśladować. Każcie sobie podobną tkalnię przysłać do Pragi, będzie rozrywka i o smutkach zapomnienie.

Niewiasty zwróciły się ku drzwiom wiodącym do mieszkania pani Janowej, co widząc cesarz Karol, zawołał powstając od stołu:

— Już to nas opuszczacie, przezacna pani?! Niezasłużenie krzywda nam się dzieje, krzywda podwójna, bo, jak widzę, i małżonkę moją umiłowaną uprowadzacie z sobą.

— Strudzonam długą biesiadą, miłościwy mężu i panie — rzekła Elżbieta — rada bym spocząć krznę z dala od gwaru. Niebawem powrócę.

— Z utęsknieniem oczekiwać, ku podwojom spoglądać, z rozradowaniem witać was będę, serca mego pani! — kłaniając się, dwornie odpowiedział cesarz i dodał podchodząc do pani Janowej: — Zezwólcie, wasza miłość, bym ku dnia dzisiejszego pamięci przyozdobił paluszek waszej ręki tym skromnym upominkiem.

I podał jej kosztowny pierścień z dużym jak groch rubinem.

<sup>58</sup>zdolić (daw.) — zdolać, potrafić. [przypis edytorski]

Za przykładem cesarza poszli inni królowie i książęta. Kazimierz zdjął z szyi łańcuch złoty, o grubych jak kajdany ogniwach i życzył, by nosząc go w zdrowiu i powodzeniu, żyła póty, aż one złote kółka na proch się zetną. Waldemar ofiarował spinkę diamentową; nuncjusz różaniec koralowy; Bolko świdnicki turkusami sadzoną klamrę do pasa; Ludwik węgierski trzy sznury perel; Bogusław szczeciński parę maneli<sup>59</sup> z ciągnionego złota weneckiej roboty.

Król cypryjski Piotr czekał spokojnie, aż inni złożą swe dary. Chciał być ostatnim. Gdy więc tamci, przemówiwszy kilka uprzejmych słówek, zasiedli na powrót ławy do koła stołu, powstał Piotr i uśmiechając się żartobliwie, tak przemówił:

— Wybaczcie, szlachetna pani, że podarunek mój nie dorówna cennością kosztownym upominkom, jakie wam ich królewskie i książęce moście złożyły. Jedyłą jego zaletą jest z dalekich krajów pochodzenie i sprawność, podziwu zaiste godna.

Zamilkł, a biesiadnicy i obie niewiasty patrzyły nań pytającymi oczyma. Czekał chwilę, radując się ich ciekawością, wreszcie szepnął coś do ucha swemu paziowi, ten wyskoczył do przedsonka i w mgnieniu oka powrócił niosąc na krótkim pozłacanym drążku przepyszną białą papugę o pomarańczowym czubie.

— Oto jest gość aż z dalekiej Afryki — rzekł król Piotr do pani Janowej. — Raczyście go przyjmując łaskawym sercem. Przyda się ku rozweseleniu domu i zabawie dzieci.

— Ależ ma szpony potężne i dziób nie lada jaki! Czy nie kasa? — spytał ksiądz Daniel, troskając się w duchu o swoją ulubienicę, Kostkę.

— Bynajmniej. Oswojona jest i bardzo łagodna a mądra. Gada jak człowiek.

— Co powiadacie? Jak człowiek?

— Chyba dworuje sobie z nas wasza królewska miłość — mruknął król Waldemar z niedowierzaniem.

— Sprawiedliwie mówię i jeszcze raz powtarzam, że nader ładno uczy się naśladować mowę ludzką. Nieraz wcale dorzecznie na pytanie odpowiada.

— Czemuż teraz milczy?

— Bo załęczniona. W ciemnej skrzyni dworzanin mój trzymał ją w sieni przez kilka godzin, teraz nagle tyle narodu przed sobą spostrzega, to i nie dziwota, że trwożna.

— Jakże się wabi? — spytała pani Janowa.

— Ród jej zowie się ara, że zaś jest piękna, po italsku *bella*, zatem ją wołam Arabella.

Słyszając wymówione swoje imię, papuga przekrzywiła główkę i spojrzała badawczo na swego pana.

— Może wasza przewielebność zechce ją poczęstować jaką słodyczą. Pewnie się ośmieli i pokaże, co umie.

Nuncjusz wziął z tacy połówkę brzoskwini i podał ją papudze. Panna Arabella, trzymając się mocno drążka lewą łapką, ujęła w szpony prawej brzoskwinię, dzióbnięła parę razy soczysty owoc, mlaskając twardym języczkiem z miną prawdziwego smakosza, spojrzała jego przewielebności figlarnie w oczy i nosowym głosem braciszka-kwestarza wymówiła wyraźnie:

— *Gratias tibi, domine!*<sup>60</sup>

— Nie do wiary... Nie do wiary... — powtarzał zdumiony staruszek, a wszyscy zgromadzeni spoglądali na mądrego ptaka podejrzliwie. Wszak złe duchy rozmaite przybierają postacie... Kto wie... Gdzieś aż z Afryki...

— Z dawna już nauczyłem ją dziękować tymi słowy, gdy coś dobrego do jedzenia dostaje, i spodziewam się, że się moich nauk przed waszymi miłościami dziś nie powstydy. Spróbuję jeszcze jednej krotofili. Bella! Pokaż, jak pan kicha?

— A pcich, a pcich...

— Na zdrowie! — wrzasnął błazen Wyrwał w samo ucho papudze.

Biedny ptak spłoszony i przerażony zerwał się z drążka, bijąc skrzydłami, frunął na oślep w kąt sali i tak się gdzieś podział między sosenkami, że ani jednego piórka dojrzeć nie było można.

— Pozamykajcie czym prędzej wszystkie okna! — krzyknął Wierzynek. — Szczęście, że z izby nie wyleciała.

<sup>59</sup>*manela* (daw.) — naramiennik, bransoletka. [przypis autorski]

<sup>60</sup>*gratias tibi, domine* (łac.) — dzięki ci, panie. [przypis edytorski]

— Hej, chłopcy! — zawołał król Kazimierz. — Odstawić na bok choiny. Ino ostrożnie, coby ptaszka nie urazić.

Paziowie królewscy poskoczyli żywo do roboty.

— A słowo stało się ciałem! Ptaszka mamy szukać? A którego? Ano dwa ich tu siedzi społem w kąciku! — zawołał Jurek Szeyn, najstarszy z paziów.

— Jeden biały, drugi czerwony!

— A czerwony piastuje białego!

Malcy śmieli się chórem.

— Nową niespodziankę, jak widzę, zgotowaliście nam, panie stolniku? — spytał król ciekawie.

— Jako żywo, nie rozumiem, co mówią.

— Hanka! — krzyknęła pani Janowa, zasłaniając twarz rękami.

Prowadzona w triumfie przez chichoczącego pazia, szła biedna Hanusia, osłupiała i sztywna, jakby lalka z drewna wyciosana. Długa, czerwona, nie pierwszej świeżości sukienka pobielona była od ściany na plecach i rękawach, rozczochrana główka jeżyła się igłami sosny, oczka szeroko rozwarłe patrzyły błędnie przed siebie. Dziecko wyraźnie było nieprzytomne. Rączki jedynie wiedziały, co robią, a może i rączki bezwiednie przytulały do piersi spłoszoną papugę?

— Hanka! — powtórzyła pani Janowa zdławionym głosem. — Zakało ty! Zuchwalcze nieusłuchany... Jak śmiałaś!

Hanusia milczała, ale znać było po jej buzi zachodzącej z wolna ciemnym rumieńcem, że zaczyna ogarniać ogrom swojej zbrodni: brudna, nie uczesana, wbrew rozkazom matki, a tu króle i cesarze na nią patrzą...

— O, Panie Jezusie... — wyszeptały drżące usteczka. — Jakże mnie srodze ukarałeś!

— Idź precz. Czekać na mnie w alkierzu — groźnie szepnęła pochylając się ku dziecku pani Janowa.

Jurek odebrał papugę z objęć Hanusi, a dziewczynka obudzona już z chwilowego odrętwienia i przewidująca bolesne następstwa swych niecznych uczynków, spuściła główkę pokornie i pełna wstydu a skruchy szła ku drzwiom do alkierza. Wtem coś błyszczącego mignęło jej przed oczami. Ręka w złocistej lamie ujęła jej rączkę.

— Pójdź, Hanusieńko... Przepraszamy obie społem twoją matusię, może nam ten raz daruje?

Hanka podniosła oczy pełne miłości na swą uwielbianą księżniczkę Elżbietę, a ta zaśmiała się nagle:

— Aha... Już wiem! Teraz cię poznaję! Toś to ty mi rzucała kwiaty pod nogi, gdyśmy wjeżdżali do miasta?

— Jużci — szepnęło dziecko.

Nie potrzebuję długo się rozpisywać, łatwo każdy odgadnie, że na prośby z takich ust płynące pani Janowa od razu przebaczyła córeczce. Tym chętniej to uczyniła, że ochłonawszy z pierwszego gniewu, śmiała się już w duszy z całego wydarzenia.

— Ale to jeszcze nie koniec, jeszcze mam coś do powiedzenia waszej miłości — rzekła Elżbieta. — Oby mię serce wasze zrozumiało.

— Rozkazujcie, miłościwa pani.

— Czy pomnicie rozmowę naszą przed godziną? Moje smutki, żal za Krakowem, to wszystko, czego się lękam na obczyźnie?

— Jakożbym nie pamiętała? Sercem słuchałam waszej mowy.

— Otóż, gdy rozumiecie moją obawę i tęskność mojej duszy, wiedźcie, że w waszych rękach jest lek na oną chorobę.

— Rozporządźcie mną, jasna pani. Co mam, wszystko na wasze usługi.

— Skwapliwie obiecujecie, a gdy was wezmę za słowo?

— Stanie się według woli waszej, najmiłościwsza pani.

— A więc... darujcie mi waszą Hanusię! Nie służebną, nie panną dworską, ale siostrzyczką umiłowaną mi będzie. Niech mam wspominek żywy z Krakowa, niech mowę polską co dzień słyszę, dajcie mi waszą Hanusię!

Zbladła pani Janowa. Nie było przykładu, by ktoś śmiał życzenia królewskiego nie spełnić, a jakże dopiero prośbie odmówić? Toć szczęście, zaszczyty, łaska cesarska czekały

Hanusię na dworze jej przyszłej pani. Tak... ale oddać rodzone dziecko... nie widzieć go lata całe...

Oczy pani Janowej pełne były łez, gdy schylając się przed młodą panią, obejmowała jej kolana.

— Pan ojciec tu rządzi — rzekła. — Nie mnie, ale jemu przystoi odpowiedzieć wam, miłościwa pani.

Elżbieta, przejęta nową otuchą, z radosną myślą pobiegła do męża i bardzo żywo coś mu z cicha prawiała. Cesarz skinął potakująco głową i poszukał spojrzeniem Wierzyńka, który właśnie z burmistrzem krakowskim rozmawiał.

— Mości stolniku, na słowo.

To „słowo” trwało dłuższą chwilę, po czym cesarz z gospodarzem domu zwrócili się ku ławie pod ścianą, gdzie siedziała Elżbieta z panią Janową, a u kolan matki klęczała wcale już uspokojona i wesoła Hanusia.

— Za wielką łaskę, domowi memu okazaną, pokorne dzięki składam najjaśniejszej pani — rzekł stolnik — a opiece waszej cesarskiej mości polecamy oboje z matką dziewczkę naszą umiłowaną. Że wiernym sercem służyć wam będzie, nie mam wątplenia. Hanuś, pójdz do mnie i słuchaj, coć rzekę.

— Słucham, dziadku.

— Od dnia dzisiejszego miłościwa cesarzowa, przed którą stoisz, twoją jest panią. Masz słuchać jej mowy, masz pełnić jej rozkazy, masz ją miłować nad żywot własny.

— Mam ją miłować nad żywot własny — powtórzyło dziecko głośno i dobitnie, składając rączki jak do pacierza.

Sześć lat minęło od wyjazdu Hanusi z Krakowa.

Stary Mikołaj Wierzynek spał już od roku snem ostatnim na cmentarzu przy kościele Panny Marii, ksiądz Daniel osiwił i roztył się szpetnie, ksiądz Mikołaj za to wysechł jak trzaska, a stryj Tomasz do cna zaniemógł na nogi. Ciotce Rafałce słuch jakoś nie dopisywał. Jedna pani Janowa, czynna i żwawa, wyglądała zawsze czerstwo i młodo, zarządzała domem, prowadziła całe gospodarstwo, pobierała z wiosek czynsze dzierżawne, wynajmowała sadownikom ogrody, pilnowała pasieki, wszędzie zajrzała, na każdy kłopot znalazła radę. Słowem, godnie nosiła Wierzyńków nazwisko. Stanko przykładał się do nauki w Akademii na Bawole, a Kostka przedła pięknie, omal czy nie lepiej niż matka. A i na książce do modlenia, przez ciotkę Annę-augustiankę dla niej przepisanej, wcale niezgorzej osiem kartek już umiała przeczytać.

O Hanusi wspomniano w domu co dzień. Matka tęskniła, ale wieści przysyłano i otrzymywano nieczęsto, bo i nieczęsto zdarzała się sposobność po temu.

A Hanusia w ciągu tych lat szczęściu była dla swej młodej pani prawdziwą osłodą, pociechą w tęsknocie za ojczyzną, rozweseleniem w smutku. Rosła, piękniała, z każdym dniem nabywała nowych zalet, stawała się niezbędną. Żadna inna z panien dworskich nie umiała tak pani usłużyć, tak jej dogodzić, jak Anna Wierzyńkówna. Zazdroszczono jej łask i zaszczytów, zazdroszczono bogatych upominków, a najbardziej przyjaźni serdecznej, zaufania i poufałości, jaką darzyła ją cesarzowa. Lecz nikomu na myśl nie przyszło spytać Hanusi, dlaczego czasem z rana oczy miała smutne i jakby od płaczu obrzmiałe. Do matusi leciało nocą serce tęsknione, za rodzeństwem oczy płakały, do Krakowa dusza się rwała.

I zdarzyło się na wiosnę roku 1369, że przyjechał do Pragi z listami od króla polskiego i księcia szczecińskiego dworzanin młody, Jerzy Szejn. Miał i do panny Wierzyńkówny pismo od matki. Wręczwszy kanclerzowi cesarskiemu listy królewskie, pośpieszył na pokoje panien dworskich i o pannę Annę pytał.

Gdy wyszła doń urodziwa i smukła, a niczym królowna kosztownie przystrojona, zmieszła się i stał pokornie, czekając, aż przemówi. Hanusia postąpiła parę kroków ku niemu, skłoniła uprzejmie głowę i otworzyła usta, by spytać o zdrowie matki i rodziny, gdy podniósłszy na gościa spuszczone dotąd oczy, nie domówiła zaczętego słowa, lecz klasnęła w ręce i zawołała ze śmiechem:

— Tożście wy! Ten paż królewski, co mnie na uczcie u dziadka z papugą z kąta wyciągał?!

Spotkanie

— Jam to był. Poznała mnie wasza miłość?

— Jakżeby nie! Straszna to wprawdzie była chwila dla mnie, a was wrogiem moim i zdracą być mniemałam... lecz dlatego właśnie przyjrzałam się dokładnie osobie waszej, by — da Bóg doczekać — zemstę jakową straszną na was wykonać. Usiądźcie, panie, proszę, a opowiadajcie mi dużo, dużo o matusi, o siostrze, o bracie, o ciotce Rafalce, o wszystkich... pismo nawet pono macie dla mnie?

— Oto jest. A jakże będzie z zemstą? Niech się raz wypełni, bo się lękam srodze — żartował gość.

— Ej, zwietrzała złość moja i gniew gdzieś zniknął, a raduję się ino, że w osobie waszej miłości cały Kraków przed oczy mi staje.

Rozmawiali długo o dawnych czasach, o swoich dziecinnych latach, o śmiesznej a tak bogatej w następstwa awanturze z papugą.

O swej terażniejszej doli także rozmawiali. Hanusia sławiła dobroć i łaskawość cesarzowej, Jerzy z uwielbieniem i miłością opowiadał o królu Kazimierzu, w którego straży przybocznej służył. Hanusia żaliła się, że tęskni za Krakowem, Jerzy z przejęciem namawiał ją, by odwiedziła matkę. Hanusia bała się nawet wspomnieć o tym cesarzowej, by jej nie obrazić, Jerzy tłumaczył, że matki prawa są święte. Hanusia przyrzekła, że się zdobędzie na odwagę, Jerzy nalegał, by to uczyniła co rychlej. Hanusia... Ach, już nie wiem, co dalej.

Los

W archiwum miasta Krakowa są stare metryki, testamenty, zapisy, kontrakty, umowy ślubne itd. W takich to starych aktach powtarza się kilka razy nazwisko Anny<sup>61</sup> z Wierzyńków Jurge Szejn, urodzonej w r. 1353, zmarłej w 1429.

---

<sup>61</sup>Anna — Hanusia było dawniej zdrobnieniem od imienia Anna. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/domanska-hanusia-wierzynkowna>

Tekst opracowany na podstawie: Antonina Domańska, Trzaska i Zbroja; Hanusia Wierzyńkówna: dwie opowieści z czasów Kazimierza Wielkiego, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Marty Kierepki. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury - Kultura - Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0197-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).